# POLSKA WALCZĄCA

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

**Wychodzi co tydzień** *Dnia 20-go maja 1944r.* **Rok VI. Nr. 20**



# OSOBLIWA CHWILA

Właściwie po raz pierwszy od chwili przyjazdu naszego na Wyspy Brytyjskie stanęliśmy przed zagadnieniem przekonywania Brytyjczyków o słuszności naszej sprawy. Dawniej to nie było potrzebne. Polska uważana za pierwszego i najwierniejszego alianta, Polska wraz ze swą siłą zbrojną na obczyźnie i nieustannym oporem w Kraju, była poza dyskusją — jako dogmat przyjmowano jej dobrą wolę i jej szczere intencje. Jako dogmat — jej prawo do owoców zwycięstwa Narodów Sprzymierzonych. Stąd zadanie nasze wtedy było niezmiernie proste — dawanie informacji o Polsce. Ludziom, których dawniej Polska nie tylko nie ciekawiła, ale wręcz nie obchodziła, trzeba było dać garść informacji o tym, co się u nas działo w okresie niewoli i czego potrafiliśmy dokonać w okresie niepodległości. Tubylcy słuchali z zaciekawieniem, nawet nabożeństwem. Mówiono im bowiem o kraju dzielnie walczącym, kraju, który pierwszy chwycił za broń w walce o ideały Sprzymierzonych, w walce o pokój dla Imperium.

Losy wojny zmieniły tę sytuację. Wrogie nam czynniki, rozporządzające potężnym aparatem prasowym, prelegenckim, filmowym — propagandowym w ogólnym znaczeniu tego słowa — postanowiły przeszkodzić tej naszej pokojowej pracy w czasie wojny, dążącej do właściwego, prawdziwego uświadomienia Brytyjczyków o Polsce. Zadanie nasze skomplikowało się, dogmat słuszności naszej sprawy spadł do poziomu wątpliwych pretensji "dziwnego" narodu. Przestaliśmy być popularni. Nasze drobne grzechy i przewinienia urastały do ogromu błędów i zbrodni. Nasze drobne śmiesznostki do karykaturalnych niezdarności. Naród brytyjski, bardzo wierzący drukowanemu słowu, dawał się przekonać. Nasi zwolennicy pozostawali osamotnieni. My jeszcze bardziej.

Tak jest właśnie dzisiaj. Jutro może być jeszcze gorzej. Piszę te słowa, by oddalonym od biegu wypadków politycznych, oderwanym od rzeczywistości brytyjskiej, zasklepionym w życiu polskiego ghetta uzmysłowić istniejące niebezpieczeństwo i by na jego tle napisać wielkimi literami słowo: PROPAGANDA — albo jeszcze lepiej: PRAWDA. Bowiem przez właściwe i źródłowe informowanie naszych przyjaciół i nieprzyjaciół w szeregach brytyjskich, oddać dzisiaj możemy nieocenione usługi sprawie. Gdy wojsko opuści tę Wyspę, gdy rząd polski zrobi pierwszy krok w kierunku powrotu, gdy ślady po nas ostygną — nie będzie już takiej okazji i takiego momentu. Dzisiaj przeto wszelkimi drogami, wszelkimi kanałami trzeba rozprowadzać prawdę o naszym kraju, na przekór wydawnictwom sowieckim, na przekór *"Observerom"*, na przekór *"Daily Workerowi"* reprezentującemu tutaj interesy obcego mocarstwa.

Opinia brytyjska jest instrumentem ogromnie czułym, na którym granie nie należy wcale do zadań najłatwiejszych. Wybieranie takich strun któreby nam odpowiadały tonem jest pierwszym zadaniem. Potem trzeba te różne struny — konserwatywne i robotnicze, młodzieżowe i dojrzałe, zestroić ze sobą razem i nadać im pewien kierunek.

Wyłomem w tym zgraniu była ostatnia dezercja z armii polskiej. Nie wchodzę tutaj w przyczyny, w oskarżanie jednych, uniewinnianie drugich. Sprawa załatwiona została przez sądy polowe i im zostawiamy głos decydujący. Jakkolwiek jednak było, cokolwiek złego spotkało żołnierzy-Żydów w polskich szeregach, jedno musimy stwierdzić — wybrali szczególny moment swego wystąpienia. Był to wybryk ludzi w większości nie zdających sobie sprawy z jego następstw i ze szkody, jaką uczynili swej przybranej, czy może prawdziwej ojczyźnie.

Prasa sowiecka zapełniła się opisami ucieczki, procesu i rzekomych okrutnych prześladowań, jakim owi żołnierze byli poddawani. Niemieckie radio wtórowało tym głosom. Izba Gmin zamieniła się pewnego popołudnia w salę sądową, na której na ławie oskarżonych zasiadła "nietolerancyjna", "reakcyjna" i "anty-semicka" armia polska. W szeregu miast, miasteczek i wsi organizowano zebrania protestacyjne. Polaków wygwizdywano w fabrykach, nie słuchano, gdy chcieli mówić, zarzucano nieprzejednanymi w swej niechęci, czy nawet nienawiści pytaniami. Wreszcie, by usprawiedliwić jednych, a przecież winę zwalić na kogoś, poto, by wytłomaczyć zdziwionej brytyjskiej opinii publicznej, dlaczego ci prześladowani żołnierze dopiero po czterech latach zdecydowali się na protest, ogłoszono, że antysemityzm i nietolerancję szerzą Polacy wzięci do niewoli z wojsk Rommla w Afryce. Znajdując kozła ofiarnego, usłużna naszym wrogom prasa brytyjska jednocześnie dała najwyższą pochwałę ruchowi hitlerowskiemu, którego zasadami przejąć się potrafili nawet jego śmiertelni nieprzyjaciele, przemocą wcieleni do znienawidzonej armii.

To był wyłom bolesny i w swych konsekwencjach nieobliczalny. Zła wola, pomieszana z nieświadomością wydała owoce takie, o jakich nie myśleli sprawcy niewątpliwie pod każdym względem złego czynu. Prawda głoszona przez nas na zebraniach, konferencjach, podczas spotkań prywatnych i wystąpień publicznych, przyćmiona została biegiem wypadków wojennych i rozgłosem prawie bezkarnej dezercji. Tragizm tego wyłomu polega również i na tym, że przecież wielu z dezertertów uważa się za Polaków, że wielu z nich nie chciało szkodzić sprawie polskiej w tak ciężkiej i trudnej dla niej chwili.

Z drugiej zaś strony warto zanotować także i głosy dobre, pozytywne, dla nas pożyteczne. W ogólnie zmęczonej, czasami niechętnej, chwilami zupełnie wrogiej nam opinii brytyjskiej, znajdują się także wyłomy. Nie mówię w tej chwili o naszych przyjaciołach dawnych, wypróbowanych, o ludziach, o których wiadomo, że nie zawiedziemy się na nich nigdy. Mam na myśli szeroką opinię nieobjętą naszymi wysiłkami jednania jej dla prawdy i słuszności naszych celów wojny, ponieważ objąć jej nie jesteśmy w stanie znikomym aparatem ludzkim i ograniczonym słowem drukowanym. Z takiego właśnie dalekiego środowiska, z pewnej szkoły, w której młodzież kilkonastoletnia mało o Polsce słyszała, i w której omawiane są sprawy różne w sposób swobodny, spokojny i rzeczowy, przyszła wiadomość dająca przecież poczucie tego, że nie zawsze jesteśmy osamotnieni, że nie zawsze źle o nas mówią, że nasi przeciwnicy nie są potęgą nie do zwyciężenia.

W szkole tej jedno z zebrań dyskusyjnych poświęcono Polsce i jej obecnym kłopotom. Dyskutowano zawzięcie i długo, po czym, zgodnie ze zwyczajami parlamentarnymi przyjętymi w tym kraju, zwyczajami, których uczą się chłopcy od najmłodszych lat, postawiono konkretny wniosek pod głosowanie. Wniosek ten brzmiał: *"In the opinion of this House the Curzon Line would make a suitable boundary of Poland after the war"* — w wyniku głosowania został on obalony trzynastoma głosami przeciwko dziesięciu. Trudno przypuszczać, by głosujący chłopcy znali sprawę Polski dobrze i prawdziwie. Trudno przypuszczać także, by nie dochodziła do nich argumentacja naszych przeciwników, którzy zapełniają pisma, kina i zebrania. Trudno przypuszczać, by nie słyszeli tanich frazesów o polskim feudalizmie i zacofaniu. A jednak głosowali w myśl polskich żywotnych interesów.

Notuję ten fakt, jako widoczny objaw zdrowego rozsądku brytyjskiej młodzieży, jako dowód dobrego wyczuwania swego własnego interesu poprzez zagrożony interes innego narodu. Notuję go także nie tylko jako wyłom w brytyjskiej, przeciętnej, opinii publicznej, lecz także jako dowód, że zakorzenione poczucie *"fair-play"* przekazywane z pokolenia na pokolenie jest najsilniejsze u młodzieży niezepsutej rozgrywkami partyjnymi i podciąganiem idei i zasad do potrzeb chwili. Wynik głosowania szkoły w miejscowości Reading powinien nas bardzo podtrzymać na duchu.

Wyjąłem te dwa wypadki z morza wielu innych, jako dzisiaj najbardziej aktualne i najbardziej charakterystyczne. Jeden — świadczący o nieprzemyślanym szkodzeniu sobie samemu i drugi — mówiący o niespodziewanej pomocy z kół młodzieży brytyjskiej. Oba dowodzą niezbicie dużego zainteresowania sprawami nas obchodzącymi, zainteresowania, którego przejawy znajdujemy nie tylko w napastliwych artykułach dziennikarskich, nieprzyjaznych zebraniach lewicowych intelektualistów, lecz także w mało formalnych, lecz tym bardziej ważnych i dla nastrojów brytyjskich charakterystycznych, rozmowach siedemnastoletnich chłopców.

Pozycja nasza trudna, zagrożona, trudniejsza aniżeli ta, którą mają pewne kraje walczące po tamtej strony barykady, nie jest przecież nie do wygrania. Znowu trzeba tylko dążyć, by tych szczerb ujemnych było jak najmniej, by w czas im zaradzać i by montować szeregi przyjaciół zasad, o jakie walczą Narody Sprzymierzone. Warto poprzez nich rozprowadzać proste słowa, jakie mamy na swoją obronę przeciwko wszelkim zarzutom, których nie sposób dziś sprawdzić, a którym chwilami wygodnie wierzyć. Słowa te ograniczają się do zestawienia faktów, na których opierały się stosunki Polski z jej sąsiadami na przestrzeni ostatnich lat dziesięciu, ze szczególnym uwzględnieniem stosunków z Rosją Sowiecką na przestrzeni ostatnich lat trzech. Nic więcej. Niechaj konkluzję wyciągają sami słuchacze, niechaj bezstronnie powiedzą kto jest winien obecnemu stanowi rzeczy, niechaj sami wydadzą sąd.

Przez dotarcie do wszelkich możliwych kanałów życzliwych sprawie polskiej można z powrotem odrestaurować dogmat o naszej dobrej woli, o naszych intencjach pozbawionych jakichkolwiek dążeń, któreby były sprzeczne z celami wojny Narodów Sprzymierzonych. Jest przeto w tej chwili do zrobienia niezmiernie dużo, jak może nigdy przedtem jeszcze nie było. Chodzi tylko o to, by każdy Polak w Wielkiej Brytanii oddziaływał w swoim kółku, w organizacjach do jakich ma dostęp, w partiach politycznych — w sposób możliwie bezstronny, możliwie spokojny i sprawiający wrażenie raczej zewnętrznego obserwatora, aniżeli gorącego uczestnika rozgrywki. Kiedyś, po latach, gdy losy tej wojny i pokoju, jaki po niej nastąpi, potoczą się różnymi drogami, Brytyjczycy i świat cały będą z wdzięcznością wspominać polskie prawdy, głoszone przez polityczną i wojskową emigrację drugiej wojny światowej.

*ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr.*

*MARIAN WALENTYNOWICZ: Motocyklista*



# Szkic sytuacyjny

## WE WŁOSZECH FRONT RUSZYŁ

Nie od dzisiaj oczekiwano ożywienia frontu włoskiego. Już przed trzema tygodniami korespondent londyńskiego *"Timesa"* w depeszy z linii frontu we Włoszech zapowiadał przejście aliantów do akcji. Podkreślił on, że podsuwa się wielkie ilości sprzętu na fronty, że szosy zapchane są taborami, że lotnictwo alianckie przygotowuje się do akcji na wielką skalę. "Nie było by rzeczą dziwną — kończył swój rzeczowy raport korespondent *"Timesa"* — gdyby z nastaniem lepszej pogody alianci przeszli do uderzenia we Włoszech. Na całym froncie panuje nastrój oczekiwania".

Podobne raporty nadsyłali korespondenci amerykańscy. Przewidywania ich sprawdziły się i oto jesteśmy świadkami wielkiego uderzenia na froncie szerokości około 50-ciu km. Cały front nie ożywił się jeszcze, ale istnieje możliwość, że znajdzie się on cały w ogniu.

Front włoski jest frontem osobliwym, albowiem możliwości manewru są tam bardzo ograniczone w porównaniu z frontem wschodnim. Front jest wąski, a nasycenie wojskiem po obu stronach znaczne. Szanse zatem manewru oskrzydlającego czy obejścia frontu są małe. Na razie więc atak jest frontowy, przyczem uderzenie główne — czy główne? — idzie ku San Angelo. Liczy się na odcięcie stanowisk pod Cassino, które okazały się dotychczas orzechem bardzo twardym do zgryzienia. Niemcy przeszli do przeciwuderzenia na odcinku rzeki Rapido, ale ich pierwsze ataki zostały odrzucone.

Na razie nie należy się liczyć, jak powiadają komentatorzy anglosascy, ze zbyt efektownymi posunięciami. Raczej, jak powiada artykuł wstępny londyńskiego *"Timesa"* z dnia 15-go maja, posuwanie się na froncie włoskim "przypominać będzie ataki z okresu wojny ubiegłej", kiedy to powoli zdobywano kilometr po kilometrze i kiedy zaporowy ogień artylerii przygotowywał natarcie. Komentatorzy brytyjscy ostrzegają przed optymizmem, jak n.p. komentator wojskowy *"Daily Telegraph'u"*, który dnia 15-go maja pisze, iż od sforsowania linii górskiej zależy powodzenie kampanii i że opory na drodze do Rzymu będą bardzo poważne.

Kontrataki niemieckie były przewidywane przez ostrożnych Anglików. Już w pierwszym dniu uderzenia komentatorzy brytyjscy nauczeni doświadczeniem zapowiedzieli, że należy się liczyć z kontratakami niemieckimi i że jeżeli do 40-tu godzin ich nie będzie, znaczy to, że Niemcy nie będą stawiać wielkiego oporu i że ofensywa rozwinie się pomyślnie. Kontrataki przyszły i zaraz komunikat brytyjski mówił o tym, że "działania są przeważnie natury lotniczej". W chwili kiedy piszemy te słowa niewiele wiemy o przesunięciach na linii frontu. Wydaje się, że opór niemiecki jest wszędzie poważny, niekiedy bardzo zacięty. "Niemcy walczą jak diabły" — depeszuje korespondent *"Daily Mail"* z linii frontu we Włoszech. Podobne zdanie wypowiadają inni korespondenci wojenni.

Linia Gustawa jest zdaje się, wcale silna, ale nie jest ona jedyną zaporą. Jest jeszcze Linia Hitlera, odbiegająca nieco od linii Gustawa, przy czym wydaje się, że ta linia jest mocniejsza. Działanie brytyjskie jest na razie bardzo ostrożne. Lotnictwo toruje drogę, ogień artyleryjski jest niezwykle ostry. Anglicy przypuścili wiele uderzeń celem zbadania siły oporu oraz mocy linii. Gdzie nastąpi właściwe uderzenie, nie wiemy. Na razie parcie brytyjskie idzie ku dolinie Liri, albowiem jest jasne, że tam najlepiej mogłyby rozwinąć akcję czołgi sojusznicze. W innych terenach trudno by im było operować.

Komentatorzy niemieccy ujmują kampanię włoską wcale oryginalnie, ale przypuszczać należy, że ich doniesienia mają w sobie wiele utajonego sensu. Traktują oni mianowicie atak we Włoszech jako część składową wielkiego planu operacyjnego. Pierwszym etapem tego planu wielkoskalowego, powiadają Niemcy, były bombardowania dalekich obiektów w Rzeszy, drugim ataki na węzły kolejowe w Rzeszy i Francji oraz Belgii, jako na możliwym przyfronciu, trzecim jest atak we Włoszech. Jakie są dalsze koleje tych sojuszniczych planów, powiadają komentatorzy niemieccy, nie wiemy, ale wszystko wskazuje na to, że alianci mają jakiś *"master plan"*, według którego kierują swoimi uderzeniami. Niemieccy obserwatorzy skłonni są przypuszczać, że front wschodni jest gotów do ruszenia i że akcja na wschodzie będzie również jedną z części składowych owego *"master plan"*.

## NA WSCHODZIE OFENSYWA?

Moskiewski korespondent londyńskiego pisma *"News Chronicle"* donosi dnia 15-go maja, że należy liczyć się z podjęciem przez Rosjan wielkiej akcji na Wschodzie. Potężne ilości sprzętu podsuwane są na linię frontu w szczególności zaś dział. Również lotniska sowieckie na wysuniętych placówkach nasycane są stale maszynami.

Jest rzeczą znamienną, iż Rosjanie przeszli do bombardowania zaplecza frontu niemieckiego. Lwów, Sambor, Brześć nad Bugiem, Lublin — znalazły się pod bombami sowieckimi. Rosyjska flota powietrzna jest wyraźnie silniejsza, a jak powiadają źródła angielskie, armada bombowców do bombardowania nocnego będzie przechodziła do akcji coraz częściej. Rosjanie doszli bowiem do przekonania, że na skutek skoncentrowania myśliwców nocnych na zachodzie, Niemcy są w dużej mierze odsłonięci na ataki nocne i że nie potrafią odparowywać ciosów lotnictwa bombardującego w nocy.

Na razie ataki sowieckie noszą charakter lokalny. Komunikaty sowieckie wspominają raczej o atakach niemieckich, które odpierane są koło Seretu i w Besarabii.

Cisza na froncie rosyjskim nosi wszelkie cechy ciszy przed burzą.

## NARADY PREMIERÓW DOMINIALNYCH

Narady premierów imperialnych zostały niemal zakończone. Nie wiele wiemy na razie o ich istotnej treści, albowiem lwia część tych spraw są to rzeczy "ściśle tajne". Omawiano plany inwazyjne, odwiedzano wojska przeznaczone do szturmu na fortecę Europy. Poza tym jednak były w robocie sprawy już mniej tajne a więc emigracja z Wielkiej Brytanii do dominiów brytyjskich, przy czym na ten temat nie wypowiedziano się tak otwarcie jakby się tego należało spodziewać.

Drugim zagadnieniem, które interesowało premierów dominialnych, była sprawa stworzenia systemu bezpieczeństwa światowego. W tej mierze wydaje się, że premierzy dominiów wcale stanowczo podkreślili potrzebę systemu, któryby nie był dyktatem trzech czy czterech mocarstw. Opowiedzieli się oni raczej za odnowieniem Ligi Narodów, przy czym jednak organizacja ta musiałaby mieć poparcie siły. Zagadnienie siły jest ośrodkiem, wokoło którego obraca się owa przyszła organizacja. Jak ta siła ma być pojęta, czy trójka wielkich morcarstw będzie pozostawać pod bronią, czy są szanse powołania do życia jakiejś policji międzynarodowej i t.d.? Są to pytania niezałatwione i nie wiemy. kiedy padnie na te pytania odpowiedź.

. Premierzy dominialni są raczej konserwatystami w dziedzinie polityki zagranicznej i dlatego wypowiadają się za odtworzeniem dawnego schematu, jak Liga, a nie za powoływaniem nowego typu organizacji. Dominia popierały stale za czasów genewskich Ligę Narodów, a odczuwają one dobrze, jakie niebezpieczeństwa grożą t.zw. małym narodom, jeżeli dyktat "wielkich" będzie zbyt wyłączny. Ostatecznie, dominia są same "małymi narodami". Nic więc dziwnego, że chciałyby one stworzyć taki system, któryby zapewniał szanse rozwoju nie tylko wielkim, ale i małym.

Nie wiemy, jakie losy spotkają projekty przedstawione przez premierów dominialnych, albowiem plany te będą dopiero przedłożone Ameryce i Rosji. Dla polityki krajów europejskich głos dominiów brytyjskich jest dowodem, że Europa winna wzmocnić swoje węzły z dominiami jako przyrodzonymi niejako obrońcami "małych narodów".

## W ODMĘCIE POGŁOSEK

Na tematy polsko-sowieckie pisze się w prasie światowej wiele rzeczy, przy czym spora część tych ocen nie ma oparcia w rzeczywistości. *"Observer"*, specjalizujący się w tych doniesieniach /puszczał on w świat nawet takie pogłoski jak o owym tajemniczym generale Roli, który schował się pod ziemię/ donosi dnia 14-go, iż istnieje możliwość jakiegoś "polubownego" załatwienia sporu sowiecko-polskiego i że Rosja gotowa jest "odstąpić" Lwów i Wilno, jeżeli polski rząd spełni pewne warunki. Warunki te przedstawiałyby się w ten sposób, że gabinet londyński musiałby zostać zmieniony.

Podobne doniesienie zamieszcza w tym samym dniu *"Sunday Times"*, który uważa, że owym warunkiem ugody byłoby włączenie do rządu przedstawicieli Komitetu Patriotów oraz połączenie wszystkich sił zbrojnych polskich, zarówno tych co są we Włoszech, w Szkocji oraz tych co walczą obecnie /albo czekają na walkę/ "przed granicą polską". Chodzi tu oczywiście o wojska generała Berlinga, o których ostatnio prasa amerykańska i brytyjska szeroko się rozpisywała. Korespondent Reutera opisał wizytę swoją u tych wojsk, zaznaczając, że są one dobrze uzbrojone w sprzęt brytyjski, amerykański i sowiecki, że rekrutacja Polaków odbywa się na kresach wschodnich /co, nawiasem mówiąc, zaprzecza teorii pewnych państw, jakoby nie było tam Polaków i jakoby być to miały ziemie etnograficznie rosyjskie/ i że z chwilą dojścia do Warszawy armia ta będzie ogromna. Żołnierze tej armii powiedzieli korespondentowi, że zamierzają iść nie tylko do Warszawy, ale do Berlina. Ich program, szczególnie tych, których sprawozdawca Reutera odwiedzał w ośrodku "politycznego przeszkolenia" jest radykalny: podział ziemi, upaństwowienie przemysłu i banków, ale nie ma być farm zbiorowych ani też nie należy likwidować małych warsztatów. Co do granic, to jest rzeczą znamienną, iż korespondent Reutera ograniczył się do stwierdzenia, iż "linia Curzona budzi tam zainteresowanie" i że wyrażano wiarę, iż "zagadnienia graniczne jakoś będą załatwione". Nawet jednak żołnierze z armii Berlinga nie wypowiadali się za linią Curzona, co jest ciekawym zjawiskiem.

Jest również ciekawe, że żołnierze ci oświadczyli, że byliby wdzięczni profesorowi Lange, gdyby ułatwił im porozumienie się z rodzinami w Kazakstanie i na Syberii. To ostatnie stwierdzenie odkrywa ludzką rzeczywistość — nie polityczną. Rozumiemy to pytanie i zapewne zrozumiał je sprawozdawca Reutera. Podał je uczciwie. A skoro rozumiemy to pytanie, lepiej zapuśćmy zasłonę na tragiczną armię, która — wierzymy w to — chce wejść do Polski i być gospodarzem we własnym kraju. Tak wierzy żołnierz, który stoi przed granicą polską. Któż rzuci na niego kamieniem, że tak myśli, że tak wierzy? Pozostała mu bowiem tylko ta wiara.

Wizyta ks. Orlemańskiego, która wywołała taką burzę w USA, jest dzisiaj oceniana spokojniej przez poważną prasę. *"Daily Telegraph"* z dnia 15-go maja pisze w depeszy z Waszyngtonu, że wizyta ta przyniosła więcej szkody, aniżeli pożytku sprawie przez księdza Orlemańskiego reprezentowanej; jest on przedmiotem ataków zarówno ze strony Kongresu USA jak i kleru amerykańskiego. Nawet londyński *"News Review"* złośliwie potraktował politykującego księdza, przedstawiając go jako postać raczej komiczną.

Niemniej postać ta zabawiła się w politykę, narobiła mętu, przesunęła się przez scenę, a nam pozostało pytanie: dlaczego pojechał ks. Orlemański do Rosji, czy otrzymał on w Moskwie jakieś sugestie, o których nie mówiło się w prasie /a które relacjonował *"Observer"*/, jakie ma on kontakty poza Oceanem i w innych jeszcze może miejscach? Słowem, czy misja ta nie była zapoczątkowaniem nowego okresu pogłosek, zamętu, chaosu, słowem wszystkiego tego, co może się najgorzej odbić na naszej sprawie?

Londyn, dnia 15.V.1944.

*ZBIGNIEW GRABOWSKI*

# Nowości lotnicze

Wells, pisząc na początku tego wieku o lotnictwie, wyrażał często pewność, że lotnictwo musi w miarę swego rozwoju odegrać poważną rolę nie tylko w konstrukcji politycznej naszego świata, lecz także i w etycznym rozwoju społeczeństw.

Nieraz już omawialiśmy, jakie przemiany musi spowodować lotnictwo przez to tylko, że nawet najpotężniejsze narody i państwa nie będą w stanie utrzymywać tak wielkiej siły powietrznej, by zapewniała im ona bezpieczeństwo i pokój. W praktyce, nie ma dziś na kuli ziemskiej narodu nie zagrożonego atakiem z powietrza. Morza dawno przestały bronić kontynentów, najwyższe góry nie stanowią przeszkód dla bombowca. Nawet mgły i burze nie stanowią zapory dla lecących kluczy.

To wszystko zmusza narody do szukania jakiegoś środka bezpieczeństwa. Dlatego to tak wielkie znaczenie przywiązywane jest do przyszłej powojennej międzynarodowej komunikacji lotniczej.

Jeszcze w tym roku, jak to ostatnio zapowiedział Lord Beaverbrook, zwołana zostanie międzynarodowa konferencja lotnicza, która rozważać będzie te sprawy może nie w idealistycznych formach, lecz pod postacią zagadnienia międzynarodowej komunikacji powietrznej.

Podobno, według wypowiedzi tego męża stanu, Wielka Brytania i Ameryka uzgodniły już swe zapatrywania na przyszłą organizację komunikacji powietrznej i na kwestię bezpieczeństwa międzynarodowego. Nie mniej jednak sprawy związane z tym zagadnieniem są w dalszym ciągu troską wielu rządów. Nie najmniejszą rolę w tych problemach odgrywa Polska i jej położenie geograficzne, które dzieli z kilkoma jeszcze innymi krajami.

Istnieje spór zasadniczy: do kogo mają należeć wielkie bazy lotnicze, ciągnące się długim łańcuchem między Morzem Bałtyckim a Bałkanami. Bazy te mają szczególną właściwość: kontrolują równocześnie Atlantyk wschodni i Ural, Morze Irlandzkie i wschodnie wybrzeża Morza Śródziemnego. Wiadome jest, że kto będzie panem tych baz, ten będzie wywierał swe wpływy na całą Eurazję, a nawet na system polityczno-ekonomiczny świata. Pytanie, co lepsze: Zachód, czy Wschód — jest nieracjonalne i niewłaściwe. Ani Zachód nie powinien panować nad Wschodem, ani Wschód nad Zachodem. Sporne bazy powinny tworzyć swój własny system geopolityczny, jako ogniwa wiążące dwa odmienne światy. Wtedy dopiero będzie można mówić o trwałym pokoju.

Ostatnie wydawnictwa fachowe zawierają wiele artykułów na ten temat. Wśród tych, którzy nie są zarażeni bakcylem imperializmu i nie ulegają złudom siły i przemocy, najwięcej znajdujemy zwolenników systemu federacji, z wyodrębnieniem federacji Centralno-Wschodniej Europy w osobny system. Można z przyjemnością stwierdzić, że najgorętszymi zwolennikami tych teorii są uczeni anglosascy i to na równi Amerykanie jak i Brytyjczycy.

---

O obecnej działalności wojennej lotnictw alianckich trudno rozpisywać się więcej, niż to czynią obecnie pisma codzienne. Jest ona olbrzymia i wyborem celów coraz bardziej wskazuje, że czas uderzenia jest bardzo bliski. Miał rację Bevin twierdząc, że t.zw. drugi front właściwie już się zaczął. Właściwa inwazja, która jest tylko jednym z fragmentów drugiego frontu, nastąpi wtedy, gdy sytuacja całkowicie dojrzeje do tego rodzaju operacji ~ niezwykle skomplikowanym i ryzykownym charakterze. Wiemy w tej chwili, że Rommel, który jest dowódcą Obrony Europy, chce rozegrać bitwę o utrzymanie swej fortecy w drodze krótkiej, bez przeciągania działań. Jeżeli to prawda, to rozstrzygnięcie padnie szybko, w kilka tygodni po dokonanym lądowaniu, zaspakajając rychło ciekawość świadków postronnych. Rozstrzygnięcie tej bitwy będzie miało miejsce w powietrzu.

---

W ostatnich "Nowościach Lotniczych" omówiliśmy część zadań, przypadających *Bomber Command*, mianowicie kładzenie min na wodach nieprzyjaciela. Dziś przyjrzyjmy się działalności innej *Command*, o której mało się mówi, ale która odgrywa nadzwyczaj ważną rolę w ogólnym wysiłku wojennym Sprzymierzonych. Mamy na mysli *Transport Command*.

Zadaniem *Transport Command* jest utrzymanie powietrznej łączności między poszczególnymi odcinkami frontów i między krajami Sprzymierzonych. *Transport Command* dostawia samoloty z Ameryki do Wielkiej Brytanii i z Wielkiej Brytanii na pola bitew, jak i przewozi wojska. Przenosi na swych skrzydłach dyplomatów na ważne narady, jak również towary, czy broń. Zaopatruje wojska w trudnych terenach i załatwia wiele zadań, których tutaj nie da się wymienić dokładnie. Jest wszędobylska i służy "do wszystkiego". Choć dzisiaj jej rola, jakkolwiek ważna, jest mało znana, to jednak w przyszłości wybije się na pierwsze miejsce z chwilą, gdy przestaną gruchotać strzały karabinowe nad Europą.

*Transport Command* urodziła się ze skromnych początków. Wtedy nazywała się: *Atfero*. Była to organizacja cywilna, pracująca na korzyść wojska. Samoloty tej *Command*, skrzydło w skrzydło z samolotami *British Overseas Airways Corporation*, pomału opanowały wszystkie linie światowe, wiążąc je dokoła całej kuli ziemskiej.

Załogi samolotów są bardzo międzynarodowe, najmniejszy bodajże procent stanowią wśród nich rodowici Brytyjczycy. Wszystkie przechodzą specjalny trening w Kanadzie. Wśród tych załóg jest wielu Polaków i to lotników o wielkich nazwiskach, choćby wspomnimy nazwisko ś.p. Burzyńskiego, wspaniałego "milionera" LOTU, który zginął niedawno w Montrealu w nieszczęśliwym wypadku wraz z innymi członkami załogi.

Samoloty, na których te załogi latają, są przeważnie pochodzenia amerykańskiego, z tej racji, że Ameryka wytworzyła więcej typów, nadających się do tych celów, którym służy *Transport Command*, niż wielka Brytania. Są tam "Liberatory" i "Dakoty" czy "Hudsony". Są jednak też w użytku ostatnie typy brytyjskie jak "York" czy "Warwick".

Stała służba transportowa *Transport Command* pokrywa w tej chwili 85,000 mil. Każdy miesiąc przynosi samolotom tej *Command* około 3 miliony przelecianych mil!

Wspaniała ta organizacja daje nam żywy obraz tego, czym stanie się kiedyś komunikacja lotnicza światowa. Niewątpliwie z chwilą zawarcia pokoju, *Transport Command* przestanie istnieć. Niektóre z linii obsługiwanych przez nią obejmą linie cywilne na własny koszt i rachunek, lecz wiele będzie musiało w dalszym ciągu utrzymywać państwo w myśl zasad Prezydenta Roosevelta, aż do tej chwili, kiedy linia dojrzeje do przejęcia jej przez inicjatywę prywatną, t.j. — gdy stanie się dochodową.

*M. J. GORDON*

# Z tygodnia na tydzień

*8 maja: W nocy z 7/8 lotnictwo brytyjskie bombardowało Bukareszt z baz Morza Śródziemnego — oraz Leverkusen, koło Kolonii, z baz w Anglii.*

*—Polski dywizjon obrony wybrzeża w nocy z 7/8 patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły z tej wyprawy.*

*—Za dnia lotnictwo amerykańskie bombardowało silnie Berlin i Brunszwik. Lotnictwo Sprzymierzonych atakowało za dnia cele wojskowe w Belgii i Francji.*

*—W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie przełamały niemieckie linie obronne pod Sewastopolem.*

*9 maja: W nocy z 8/9 lotnictwo brytyjskie bombardowało ośrodki kolejowe w Belgii.*

*—W nocy z 8/9 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi polskie powróciły.*

*—Lotnictwo Sojusznicze bombardowało za dnia koleje w Belgii i Francji.*

*—W Moskwie ogłoszono o zajęciu Sewastopola przez wojska sowieckie.*

*10 maja: W nocy z 9/10 lotnictwo brytyjskie bombardowało obiekty przemysłowe i wojskowe we Francji.*

*—W nocy z 9/10 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.*

*—Lotnictwo Sojusznicze atakowało za dnia ośrodki kolejowe we Francji i Belgii.*

*—Lotnictwo amerykańskie z baz Morza Śródziemnego bombardowało fabryki lotnicze w Wiener-Neustadt.*

*11 maja: W nocy z 10/11 lotnictwo brytyjskie bombardowało ośrodki wojskowe i kolejowe we Francji i Belgii.*

*—Polski dywizjon bombowy ciężki w nocy z 10/11 bombardował cele wojskowe w północnej Francji.*

*—Lotnictwo brytyjskie bombardowało z baz Morza Śródziemnego Budapeszt w nocy z 10/11.*

*—Lotnictwo Sprzymierzonych bombardowało silnie od rana do zmroku ośrodki kolejowe we Francji i Belgii.*

*12 maja: W nocy z 11/12 wojska sojusznicze, pod dowództwem gen. Alexandra, rozpoczęły ofensywę we Włoszech przeciw Linii Gustawa. W początkowym natarciu wzięły udział wojska polskie. Rzeki Rapido i Garigliano zostały przekroczone.*

*—Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski wydał Rozkaz Nr. 8 do żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych. W rozkazie tym czytamy: "II Korpus we Włoszech stoi w ogniu jednej z największych bitew w tej wojnie. Polacy otrzymali ważne i trudne, lecz tym samym zaszczytne zadanie . . . Oczy całej Polski zwrócone są na tych Jej synów, którzy krwią swoją piszą nową kartę historii Narodu nieznającego ceny na Niepodległość i Honor".*

*—W nocy z 11/12 lotnictwo brytyjskie bombardowało koleje w Belgii i Francji.*

*—Za dnia lotnictwo amerykańskie bombardowało z baz w W. Brytanii fabryki benzyny syntetycznej koło Lipska i w Czechosłowacji. Był to najdalszy dotąd nalot w głąb terytorium nieprzyjacielskiego.*

*—Lotnictwo Sojusznicze atakowało za dnia cele wojskowe we Francji i Belgii.*

*—Rządy brytyjski, amerykański i sowiecki ogłosiły deklarację ostrzegającą Rumunię, Węgry, Bułgarię i Finlandię o konsekwencjach dalszego popierania Niemiec.*

*—Prezydent R.P. podpisał na wniosek Rządu dekret o amnestii.*

*13 maja: Wojska sojusznicze zajęły we Włoszech miejscowości: San Sebastiano, Ventosa, San Angelo i in.*

*—Lotnictwo sojusznicze bombardowało w nocy z 12/13 obiekty wojskowe we Francji i Belgii.*

*—Lotnictwo amerykańskie za dnia bombardowało fabryki w Tutow nad Bałtykiem i pod Szczecinem oraz węzeł kolejowy w Osnabrück. W czasie tych działań myśliwce amerykańskie zestrzeliły 6 myśliwców niemieckich ponad Polską. Po raz pierwszy myśliwce sojusznicze dokonały z baz w W. Brytanii tak głębokiego wniknięcia nad teren zajęty przez nieprzyjaciela.*

*14 maja: Wojska sojusznicze zajęły m.in. Castelforte, Santa Maria Infante we Włoszech. 8 Armia posuwa się doliną rzeki Liri.*

*—W nocy z 13/14 lotnictwo sowieckie bombardowało Brześć nad Bugiem.*

# Prasa żołnierska na froncie włoskim

## (Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Korpus Polski we Włoszech ma już swe codzienne pismo. Pierwszy numer wyszedł 25 marca, po pewnych wstępnych trudnościach, które zostały jednak ostatecznie przezwyciężone. Tytuł pisma brzmi: "Dziennik Żołnierza A.P.W." Trzy końcowe litery nawiązują do tradycji palestyńskich i egipskich, gdzie pismo było dziennikiem żołnierza Armii Polskiej na Wschodzie; teraz A.P.W. oznacza Armię Polską we Włoszech, choć nie ma do tej chwili takiej oficjalnej nazwy.

Dziennik drukuje się w niewielkim górskim miasteczku, blisko frontu, tak że pismo może być szybko dostarczone żołnierzom. Kolportaż naturalnie zależny jest od niezwykle kapryśnej pogody. Nic dziwnego więc, że administrator dziennika ciągle patrzy w niebo i jako pobożne życzenie nuci piosenkę: *"O sole mio"*.

Odbija się nasze pismo codzienne we włoskiej drukarni, zarekwirowanej przez nasze władze wojskowe. Polski linotyp jeszcze nie nadszedł z Egiptu, tak że skład jest ręczny. Zecerzy są żołnierzami z Drukarni Polowej. Kilku z nich to weterani wydawnictwa. Pamiętam ich, jak jeszcze składali pierwszy numer "Orła Białego" w ciasnym kąciku korytarza w budynku sztabu w Buzułuku.

Redaktorem naczelnym pisma jest znany dziennikarz krakowski dr. Ludwik R., którego Marian Walentynowicz z wzruszającym sentymentem rysował w "Polsce Walczącej" przy każdej okazji w niezapomnianych przygodach Pompki. Lokal drukarni jest bardzo obszerny, tak że Redaktor Naczelny może swobodnie biegać przy układaniu artykułu wstępnego. Dużo, dużo gorzej pod tym względem było w Kairze, gdzie był ograniczony w swoich marszach malutkim pokoikiem o wymiarach 3 mtr. na 3 mtr.

W redakcji jest kilku dziennikarzy warszawskich, a sympatycznym kibicem pisma jest popularny por. Wacław S. dawny sprawozdawca parlamentarny P.A.T., obecnie szef kwatery prasowej, który na powitanie korespondenta wojennego zawsze gdzieś wytrzaśnie butelkę *whisky*. W tym obrzydliwym klimacie nie można sobie pozwolić na abstynencję, choćby się chciało. A cóż dopiero, jeśli się nie chce...

Dziennikarze mają naturalnie swoją kawiarnię i swój stolik. Polska "Imka" otworzyła w dawnej *Cafe Adua* kawiarnię, gdzie można dostać autentyczną czarną kawę, której tubylcy nie widzieli już od kilku lat i gdzie po południu przygrywa orkiestra włoska. Naturalnie najpopularniejszą melodią jest piosenka niemiecka "Lili Marlene", którą ósma armia wzięła do niewoli w Afryce. Jeden z młodych poetów Dywizji Karpackiej pisze już polskie słowa do tej melodii.

"Dziennik Żołnierza" jest szóstym pismem wojskowym po "tej" stronie frontu. Po "tamtej" Niemcy wydają trzy razy na tydzień *"Die Südfront"*, propagandową szmatkę, przekonywającą żołnierza niemieckiego, że na froncie wschodnim jest znacznie zimniej, przedrukowującą różne cytaty z Nietzschego, dowodzące, że warto tylko żyć po to, by umrzeć na polu chwały, ukrywającą klęski niemieckie i bombardowania miast przez lotnictwo brytyjsko-amerykańskie.

Starsi koledzy "Dziennika Żołnierza" na froncie włoskim — to *"Eighth Army News"*, codzienne pismo Ósmej Armii, założone przez dawnego reportera z londyńskiej *Fleet Street*. Formatem przypomina *"Daily Mirror"*. *"Eighth Army News"* są pismem bardzo odważnym i nie nabierają nigdy wody w usta. Atakują rząd, atakują parlament, a podczas strajku górników zdecydowanie stanęły po stronie robotników. Każdy numer zawiera na ostatniej stronie fotografie jakiejś aktorki i rubrykę listów od czytelników, w której żołnierze skarżą się, że dostają jeszcze ciągle papierosy V /u nas nazywają je "sierżantami"/, że żołd jest za niski, że filmy w kinach wojskowych są kiepskie, że nie ma urlopów do Anglii, że nie dostali orderów "Gwiazda Afryki". Dzięki tej rubryce *"Eighth Army News"* są prawdziwą trybuną żołnierską. Naturalnie każda wiadomość o generale Montgomery, nadeszła z Londynu, drukowana jest na pierwszej stronie. Żołnierze nie mogą go zapomnieć, po pierwsze dlatego, że go bardzo lubią, po drugie dlatego, że im się ciągle przypomina.

EIGHTH ARMY NEWS

No. 140, Vol. 3 WEDNESDAY, 8th MARCH, 1944 ITALY

UNION JACK

Wednesday, April 12, 1944
No. 88 Two Lire FOR THE BRITISH FIGHTING FORCES

**Stop Press**
The B.B.C. reported yesterday that the R.A.F. dropped a record load of 3,600 tons of bombs in their raids on France and Belgium on Monday night

FOR CANADIAN TROOPS IN ACTION
THE MAPLE LEAF
(WITH CANADIAN PRESS NEWS SERVICE)
Vol. 1, No. 28 — ITALY EDITION — Friday, March 10, 1944

Cena 1 lir.
DZIENNIK ŻOŁNIERZA APW
WYDANIE POLOWE
Nr 1. Rok II. „Z ziemi wloskiej do Polski" 25 marca 1944.

*"Union Jack"* jest mutacją dziennika Ósmej Armii. Rozchodzi się na tyłach, w Sycylii i w Północnej Afryce Francuskiej.

Kanadyjczycy wydają bardzo sympatyczny i bardzo dla nas serdeczny dziennik *"Maple Leaf."* Redagowany jest z dużym temperamentem i pomysłowością. Przynosi długie reportaże z frontu, drukując przy tym nazwiska i imiona żołnierzy, tak że po wojnie każdy z tych przemiłych chłopców będzie miał jeden numer gazety ze wzmianką o sobie.

Najbogatszy pod względem objętości jest dziennik Piątej Armii *"Stars and Stripes"* wydawany w Neapolu, posiadający swych własnych korespondentów wojennych i foto-reporterów. Niedawno przedstawiciele tego dziennika odwiedzili nasz korpus, robiąc mnóstwo zdjęć dla specjalnej "rozkładówki", poświęconej żołnierzowi polskiemu. Włoskie *"Stars and Stripes"* to jedno z licznych wydań tego dziennika, który wychodzi na wszystkich teatrach wojennych, a więc w Wielkiej Brytanii, Indiach, na Pacyfiku, w Egipcie, w północnej Afryce.

*"Stars and Stripes"* jest najbardziej pro-włoski z wszystkich dzienników, bo zarówno w francuskim *"La Patrie"* jak w *"Eighth Army News"* można przeczytać bardzo często jakąś ironiczną uwagę pod adresem "współwojujących" Włochów. Zwłaszcza Francuzi nie mogą zapomnieć 1940 roku, czemu się zresztą nie należy dziwić. *"Stars and Stripes"* przeszły pewną ewolucję w stosunku do Włochów, która chyba najlepiej zaznaczyła się w rubryce, poświęconej nauce języka włoskiego. O ile przedtem żołnierz amerykański mógł się tam nauczyć szeregu zdań, które mogły wywołać uśmiech radości na twarzy każdego Włocha, jak na przykład: "Ameryka i Włochy to najpiękniejsze kraje na świecie", o tyle teraz, zapewne pod wpływem bezlitosnego zdzierstwa uprawianego przez obywateli śpiewającego miasta, redakcja *"Stars and Stripes"* zaleca naukę takich niedwuznacznych zwrotów, jak: "jesteś złodziejem", jesteś "idiotą", "bandytą".

Jeszcze jedno pismo, które jest robione po "tej" stronie, a czytane po "tamtej", i kolportowane w sposób dość niezwykły. Pismem tym jest *"Frontpost"*, w którym żołnierz niemiecki może przeczytać te wiadomości, których nie znajdzie w *"Die Südfront"*. Kolportaż odbywa się drogą powietrzną, w pociskach artyleryjskich. Niedawno widziałem jak jeden z jeńców niemieckich dopytywał się swoich strażników o to, czy mógłby dostać numer *"Frontpost"*. Ot, jak można się przyzwyczaić do szybko i dobrze informującego pisma.

*ZDZISŁAW BAU*

# Na apenińskich stokach i graniach

*Na froncie włoskim w kwietniu*

Pierwszy dzień pobytu na odcinku "Kresowej" zajęła Naczelnemu Wodzowi odprawa i wysłuchanie referatów, w których sztab przedstawił sytuację i położenie Dywizji. Do późnego wieczora wysłuchiwał Generał bardzo uważnie tych sprawozdań, dopytując się o wszystko, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły. Ale kiedy wieczorem Dowódca "Kresowej" przedstawił plan na dzień następny, Naczelny Wódz oświadczył, że nic z tego i ku wielkiej konsternacji wszystkich zdecydował, że pójdzie do kompanii pierwszego rzutu. Żadne tłumaczenia nie pomogły i cały misternie ułożony plan runął.

Na drugi dzień w ciepły słoneczny poranek pomknęły "łaziki" krętą górską drogą. Wygodna niegdyś szosa, dzisiaj przedstawia obraz kompletnej ruiny. Co krok — wyrwy, dziury i leje od pocisków, wszystkie mosty /a jest ich tu mnóstwo/ wysadzone w powietrze i zastąpione albo prowizorycznymi wyczynami saperów, albo karkołomnymi objazdami. Obok szosy wije się serpentynami to, co kiedyś było torem kolejowym, a co obecnie jest poszarpaną gmatwaniną kamiennych gruzów, potrzaskanych podkładów i fantastycznie poskręcanych — niby jakieś węże przedpotopowe — szyn. Niemcy z właściwą sobie systematycznością przeprowadzili tu bardzo dokładnie dzieło zniszczenia.

Tą drogą, to w górę, to w dół, pędzą "łaziki" wiozące Naczelnego Wodza i jego otoczenie. Mijamy świetnie zamaskowane stanowiska artylerii /dopiero w chwili, gdy jedna z takich bateryj otworzyła ogień, zorientowaliśmy się, że nasz samochód przejeżdża tuż nad strzelającym działem/, wysunięte punkty sanitarne, gońców, transporty — aż wreszcie zagradza nam drogę tablica z napisem: "Wszystkie pojazdy stop. Dalszy ruch w dzień zakazany". Z tego miejsca trzeba już dalej iść pieszo.

Ścieżką wydeptaną przez muły wożące tu w nocy zaopatrzenie idzie Naczelny Wódz a my za nim, kryjąc się w wąwozach przed obserwacją przeciwnika, który tu wszędzie góruje nad naszymi stanowiskami. W miejscach, gdzie w terenie nie ma osłony, rozdzielamy się i idziemy pojedynczo w odległości mniej więcej 200 metrów jeden od drugiego. Po półtorej godzinie takiego marszu dochodzimy wreszcie do dowództwa jednego z baonów lwowskich.

Dowództwo mieści się w rozwalonej chałupie, jakimś cudem trzymającej się zbocza skały. Dokoła pełno lejów i wyrw od pocisków. Witają nas roześmiane i rozradowane twarze. Melduje się dowódca Brygady Wileńskiej i dowódca baonu przedstawiając sytuację. Naczelny Wódz interesuje się każdym najdrobniejszym szczegółem.

Myślimy, że to już koniec, ale gdzie tam! Generał mówi, że idzie na odcinek kompanii. Wspinamy się więc ze wszystkimi środkami ostrożności, boć przecież ta wędrówka odbywa się na oczach nieprzyjaciela, który siedząc o kilkaset metrów przed nami i do tego o sto metrów powyżej nas, widzi wszystko jak na dłoni.

Po drodze Naczelny Wódz ogląda wykończane właśnie przez saperów stanowiska ciężkich moździerzy, rozmawia z saperami i z moździerzystami, żalącymi się, że za mało pozwalają im strzelać, serdecznie wypytuje o rodziny, o warunki pracy. A tymczasem artyleria nasza i niemiecka wali ponad nami bez przerwy.

Idziemy dalej. Mijamy pluton ciężkich karabinów maszynowych, których dowódca młody podporucznik, melduje się bez odznak oficerskich, tylko z widocznymi, śladami po paskach podchorążackich na naramiennikach.

Naczelny Wódz zapytuje, dlaczego nie nosi odznak. I wtedy okazuje się, że nominacja zastała podporucznika tutaj, na odcinku bojowym i że po prostu nie miał skąd dostać gwiazdek. Na to generał Sosnkowski zdejmuje z naramienników towarzyszącego mu pułkownika D. gwiazdki i własnoręcznie przypina je zarumienionemu jak panna oficerowi, patrzącemu na Wodza oczyma pełnymi rozczulenia i wdzięczności.

Przechodzimy następnie koło wysuniętego punktu opatrunkowego, na którym podporucznik lekarz opowiada o wielkich trudnościach transportowania rannych na mułach po górskich ścieżkach. Na szczęście rannych w tej chwili nie ma, ostatnich wyewakuowano w nocy.

Tak idąc dochodzimy nareszcie do dowódcy kompanii tego odcinka, któremu Naczelny Wódz każe się zaprowadzić do stanowisk kompanii. Znów konsternacja, bo stanowiska są o pięćset metrów od nieprzyjaciela, który jest bardzo czujny i każdego ukazującego się człowieka natychmiast zasypuje pociskami z moździerzy. Ale Generał nie ustępuje. Wspinamy się więc na przełęcz górską, skąd Naczelny Wódz w towarzystwie dowódcy kompanii, kryjąc się, idzie do stanowisk. Nagle idącym zabiega drogę jakiś młody żołnierz.

—"Panie Generale!" — woła — "Dalej iść nie można".

—"Dlaczego?" — pyta zdziwiony Generał.

—"Dalej jest bardzo niebezpiecznie, niech Pan Generał dalej nie idzie" — mówi proszącym głosem chłopak.

Generał się uśmiecha: — "Trudno, moje dziecko — wojna".

Jeszcze kawałek tej uciążliwej i niebezpiecznej drogi i Wódz ogląda ze stanowisk kompanii pozycje nieprzyjaciela i przedpole. Na lewo, trochę w skos widać między głazami zeszyty jak kretowisko, wysunięty punkt oporu Lwowiaków, do którego w dzień nie ma żadnego dostępu. Tak w niego wali z ciężkich moździerzy, że tylko fontanny ziemi i kamieni wybuchają wokół raz po raz. Dalej na prawo — stanowiska sąsiadującego baonu Wilnian.

Naczelny Wódz nie może wytrzymać — wychyla głowę. Na to tylko czekają Niemcy: pada jeden pocisk, drugi, trzeci, pękając o 50 metrów od Generała. Otoczenie truchleje, ale Generał nie przerywa swych obserwacyj. Są mu już teraz znane wszystkie szczegóły obrony odcinka. Wie już skąd pójdą przeciwnatarcia, gdzie leżą ognie zaporowe artylerii . . . Poznać to — to był cel jego wyprawy.

Robi się późne popołudnie, trzeba wracać.

Znów droga powrotna z tymi samymi trudnościami do odwodu baonu, stojącego w bardzo sprytnie zrobionych i zamaskowanych ziemiankach, na stoku jaru. Odwód wysyła patrole nocne, więc Naczelny Wódz wypytuje szczegółowo o tę akcję. Tymczasem zaczyna się już zmierzch i kiedy Generał decyduje się wreszcie na dalszą drogę do samochodu, wybucha nagle silna kanonada.

Na ścieżce, którą mamy właśnie schodzić w dół, odbywa się zwykle przeładowywanie zaopatrzenia z samochodów na muły. Nieprzyjaciel wie o tym i ma nieuprzejmy zwyczaj ostrzeliwania tego miejsca dobrze wstrzelanym ogniem moździerzy. Ogień idzie celny i silny. Było by czystą lekkomyślnością iść teraz, więc czekamy jeszcze z godzinę, aż do zupełnej nocy.

Potem — zejście do samochodów i w kompletnym black-out'cie powrót tą samą drogą po wyrwach, dołach, dziurach do miejsca postoju.

*TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI*

***Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie***

***Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 3666 książek***

# Polska podwodna

## Na patrolu

Peryskop przeciął modrą gładziznę zatoki. Na kilka sekund wysunął się z głębi lśniący pryzmat, znacząc ruch okrętu podwodnego marszczącym powierzchnię wody śladem. Zniknął. Powierzchnia morza zapadła znowu w spokojną kontemplację samej siebie.

W głębi wód odbijały się trzy cienie. Dwa nieruchome — skalistych wysepek Ali-Baba i Kafeteria, oraz jeden ruchomy cień, czy obraz, czy rzeczywisty przedmiot, czy wszystko razem — okręt podwodny.

"N 99" patrolował u wejścia do portu. Według posiadanych informacji, w najbliższych dniach konwój miał opuścić port. "W najbliższych dniach" — powtarzał w myślach dowódca. — "W najbliższych dniach, psiakrew. Pętam się tu już dziesięć dni i nic. Z nudów trzeba będzie storpedować Ali Babę".

—"Peryskop w górę" — zwrócił się do marynarza obsługującego hydrauliczną pompę, poruszającą peryskop.

Oczy przywarły do okularów peryskopu. Nic.

—"W dół peryskop."

—"Schodzę do messy" — zwrócił się do stojącego na wachcie oficera nawigacyjnego. — "Kurs ten sam do piętnastej."

Przez wąski właz zsunął się do centrali i prostując ramiona wszedł do messy. Za stołem siedział porucznik-torpedysta i stawiał pasjansa. Spotkamy konwój czy nie? Dowódca wziął do ręki *"Life'a"* sprzed trzech miesięcy. Wszystkie obrazki już wielokrotnie obejrzane, wszystkie *"stories"* umiane na pamięć. Nuda.

W pomieszczeniu marynarzy mat-sygnalista maluje na zapasowej torpedzie konterfekt Hitlera z napisem "Dla Ciebie wszystko". Załoga w hamakach i kojach pół drzemiąc — odpoczywa. Na okręcie podwodnym bowiem dzień jest nocą, a noc dniem. W nocy okręt wychodzi na powierzchnię, aby naładować akumulatory. Wówczas przygotowuje się posiłki, oddycha świeżym powietrzem i wszyscy opalają się do syta papierosami.

Dowódca rzucił w kąt *"Life"* i zaczął studiować leżącą na stole mapę. Właściwie też znał wszystko na pamięć. Miał w głowie niejako plastyczny obraz terenu. Ali-Baba na lewo, Kafeteria trochę w głębi na prawo, tu trałowany kanał, wzdłuż dwóch mielizn. Na południe od mielizn mogą być miny.

Mierzy cyrklem odległości . . . Machinalnie patrzy na zegarek — 14,40.

—"A może wejść do portu" — przechodzi mu przez głowę. — "Nie chce góra do Mahometa, to ja pójdę po konwój — "

—"Zrobić pozycję" — huczy do oficera wachtowego. Rozsądek przypomina o minach, sieciach i aparatach podsłuchowych, ale kto by słuchał rozsądku nie pływałby na okrętach podwodnych.

Pozycję naniesiono na mapę. Kurs wejściowy 130°. Zanurzenie 40 stóp. Oba motory wolno naprzód. Okręt robi zwrot. W kiosku cisza. Dowódca uśmiecha się łobuzersko do porucznika, który nie może ukryć podniecenia.

"Peryskop w górę". Nic. "W dół peryskop". Nagle gwałtowny wstrząs. Światło na chwilę gaśnie. Gdzieś nad głową, na górze, lekki wybuch. Wszystkie zawieszone przedmioty zakiwały się dziwacznie. Wskazówki logu przesuwają się na "O".

—"Sieć albo mielizna" — przemknęło przez głowę dowódcy. — "Oba motory stop" — pada rozkaz. — "Byle nie zaplątać śrub" — szepce podświadomy instynkt.

—"Napełnić balasty" — dalsza komenda. — "Żeby nie wylecieć na powierzchnię" — dopowiada wierna podświadomość.

Na okręcie poruszenie: Co się stało?

Nad okrętem wybucha druga bomba.

Zastępca przybiega do centrali. — "Jesteśmy w sieci" — zwraca się doń dowódca.

Okręt zatrzymał się zupełnie, rufa wolno "tonie", powodując lekki trym.

—"Oba motory wolno wstecz", — pada komenda.

Naprężenie: czy śruby zaczną się kręcić, czy nie, zaplątane, czy czyste?

—"Śruby pracują" — zameldował niepytany kierownik maszyn.

—"Oba motory cała wstecz" — zakomenderował zdziwiony własnym głosem dowódca.

Długie sekundy oczekiwania. Wyjdzie, czy nie wyjdzie? Przez rurę peryskopu sączą się krople wody. Krople potu czuje dowódca na skroniach. Właściwie nie boi się, wierzy w swoje szczęście i nie myśli o tym, że za chwilę może mieć nad sobą zaalarmowaną wybuchem bomb — flotyllę ścigaczy.

Okręt zaczyna lekko drżeć.

—"Wychodzimy, wychodzimy" — ryczy z dołu bosman. Wychodzimy — śmieją się oczy nawigatora.

Coś tam ociera się o zewnętrzne blachy kadłuba. Wszyscy czują raczej, niż słyszą zgrzyt stalowej sieci. Okręt wyraźnie idzie wstecz.

—"Hurra" — wrzeszczy załoga. Porucznik ściska dowódcę — nic nie mówią. Patrzą sobie głęboko w oczy.

—"Lewy stop, na kurs 310° — lewy pół naprzód, prawy wolno wstecz — 30 stóp" — już głosem normalnym idą rozkazy.

—"Nanieść pozycję sieci" —

—"Peryskop w górę".

Czy wyszedł kto z portu na polowanie czy nie? Pusto — nic.

—"W dół peryskop." —

—"Czy są jakie uszkodzenia, bo tutaj peryskop wachtowy został zalany wodą" — zwrócił się do zastępcy.

—"Zdaje się, że wszystko w porządku, Panie Kapitanie" — zameldował zastępca.

—"Wycofujemy się na linię dozoru" — decyduje dowódca.

W nocy stwierdzono lekkie otarcie kadłuba i uszkodzenie anteny. Jak na tyle emocji, to nie wiele.

I znowu jeden dzień nudnego patrolu.

Następną noc spędzono w półzanurzeniu w dryfie koło wejścia. Zauważono dwa kontrtorpedowce — statków handlowych nie zauważono, prawdopodobnie były malowane na kolor ochronny i niewidoczne na tle brzegu.

Dowódca postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia i wejść do portu.

Na dzień okręt pozostał przy wejściu. Po południu wykonano atak.

O godz. 16,00 "alarm bojowy". Dowódca przy peryskopie.

Przez główne wejście widać dobrze duży kontrtorpedowiec, przez cieśninę między Ali-Babą i Kafeterią — drugi mniejszy.

O 16,05 — "Aparat nr. 1 uwaga".

—"Gotowe" — melduje gospodarz działa.

—"Pal".

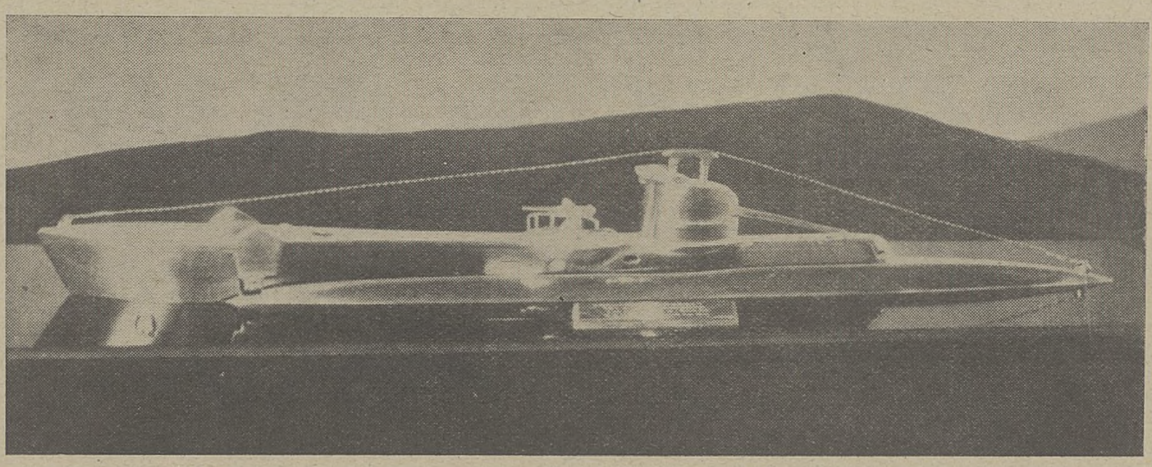
Pierwsza torpeda poszła. Po 10 sekundach druga i trzecia. Po 27 sekundach od odpalenia pierwszej torpedy wybuch, potem drugi — dwa trafienia.

A teraz wycofać się z wejścia i załadować nową porcję na tego mniejszego.

Po kwadransie aparat podsłuchowy melduje: "Namiar 150° — śruby". Po chwili szereg wybuchów nad głową. To pewnie ten mniejszy wyskoczył mścić śmierć tamtego.

Okręt kładzie się na dno. Wybuchy oddalają się. Jutro patrol się kończy.

"N 99" wraca do bazy. Na maszcie powiewa piracka bandera — tradycyjna oznaka zwycięskiej wyprawy.



*JAN SZYLSKI*

# Ich nieudany urlop

Rozmowa nie kleiła się. Od czterech dni siedzieliśmy już w sektorze, który wbrew przewidywaniom okazał się zupełnie pozbawiony ruchu. Tak zwane "mam przeczucie, że dziś coś będzie szło", powtarzane codziennie po zanurzeniu, zawiodło na całej linii. Dzień dobiegał końca, czwarty dzień pod zwykle ruchliwym portem — i nic.

—Zwąchały dranie, że tu jesteśmy, czy co — mruczał Zygmunt, mieszając ku zgorszeniu "łącznikowego" *porridge* z bekonem, piklami i musztardą.

Nikt mu nie odpowiedział, bo i co było gadać. Każdy był wściekły, zwłaszcza teraz, gdy po całodziennym zanurzeniu i po ugotowaniu śniadania, brak tlenu i nadciśnienie wewnątrz rozdrażniały pobudliwość nerwową i męczyły płuca szybkim oddechem.

Dowódca patrzył smętnie w filiżankę pełną brudno-żółtawego płynu, zwanego w jadłospisie okrętowym "kawa z mlekiem" a następnie próbował łyżeczką, jaką reakcję wywoła zetknięcie tej cieczy z wątpliwej jakości srebrem. Zdawał się być tą "alchemią" pochłonięty zupełnie.

Ja się po prostu nudziłem. Śniadanie zjadłem, do wachty miałem jeszcze piętnaście minut.

Z centrali słychać szum podnoszonego peryskopu i trzask kontaktów elektrycznych.

—Musi być ciemno, bo Karol gasi światło w centrali — mówię.

Za chwilę pokazuje się przez kurtynę odgradzającą messę zadarty nos Karola.

—Już ciemno, panie kapitanie, czy mogę zejść głęboko?

—Tak — mówi dowódca. — Czy podsłuch nic nie słyszy?

—Nie.

Wychodzę do centrali i mówię:

—Odpompuj Karol po dziesięć z dziobu i rufy i idź na śniadanie.

—Kiwnął głową, rachując w myśli sekundy ruchu pompy.

Obejmuję wachtę. Idziemy teraz ślepo. Sprawdzam, czy Diesle gotowe do ruchu, stan baterii, nadciśnienie. Okręt trzyma się doskonale na nakazanej głębokości, sternik rufowy przygotowuje lornetki na pomost.

—Pogasić światła białe, zapalić czerwone. — Trzeba przed wynurzeniem przyzwyczaić wzrok do ciemności.

Dowódca już jest w centrali.

—Podsłuch, obsłuchać. Otworzyć dolny właz.

"Wódz" z sygnalistą poszli do kiosku. W swetrach z lornetkami.

—Podsłuch nic nie słyszy.

—Wynurzenie na sterach — pada stłumiona komenda z góry.

—Szasować balasty.

Syk powietrza w rurociągach. Okręt zakołysał się, przerywając powierzchnię morza; woda z szumem spłynęła z pomostu i pokładu.

—Na powierzchni.

Szczęknął górny właz, uszy zabolały nieprzyjemnie od nagłego spadku ciśnienia. Chwila oczekiwania . . . Aż dobrze obejrzą horyzont . . .

—Ster prawo na burt . . .

—Ster leży prawo na burt.

Cisza . . . Czuję, że serce zaczyna mi bić nieco szybciej . . . Tam na górze coś widzą . . .

Upływające sekundy wydają się nieskończenie długie . . .

—Ster zero! Obsada przygotować się do działa! Podać "cekaem".

—Alarm bojowy nawodny!

Stłumiony buczek poderwał wszystkich na nogi. W ciągu kilku sekund ludzie byli na stanowiskach. W wejściu do centrali mała grupka: obsada dział, wśród nich zamkowy właśnie zdejmuje biały fartuch kucharki i wyciera ręce z rozrabianego ciasta na chleb.

—Obsada do działa!

Tylko śmignęło w czarną czeluść kiosku. Stalowa drabinka zadźwięczała pod stopami. Na pomoście sucho zastukał karabin maszynowy . . .

Pierwszy strzał z działa . . . Jakby ktoś mocno tupnął w kadłub nad głową . . . Drugi . . . Pociski wędrują z błyskawiczną szybkością poprzez łańcuch rąk ludzkich wzdłuż okrętu i do góry . . .

Nagle w naszą kanonadę wplątuje się głos inny, jakby trzepanie dywanów. Czterdziestka automatyczna. W nikłym świetle czerwonych żarówek widzę zwężające się zaciętością oczy i zaciskające się szczęki podających amunicję. Pociski idą jeszcze szybciej, trudno doprawdy je teraz prowadzić wzrokiem.

Nie mam nic do roboty; całe moje zajęcie to stać, czekać i mieć okręt gotów do zanurzenia. Okręt jest gotów, stoję więc i czekam . . . Oparłem się o spuszczony peryskop blisko tuby głosowej. Jeszcze raz rzuciłem okiem na błękitne światła kontrolne sterów i pomp hydraulicznych. Wszystko w porządku . . .

Tysiące idiotycznych myśli przesuwa mi się przez głowę, nie chcę ich nawet porządkować. Dominuje uczucie zadowolenia, że mijają minuty mojej wachty i że będę krócej stał na pomoście, wytrzeszczając oczy przez lornetkę w granatową ciemność . . . Nawet się nie boję. Po prostu nie chce mi się wierzyć, że mogą nas "utrupić", że fatalny pocisk nieprzyjaciela może zrobić nam dziurę lub wytłuc tych co są na górze.

Jakby na przekór moim myślom słyszę wybuchy gdzieś na górze, jakby na pokładzie. Jeden . . . Dwa . . . Ale nasze działo strzela ciągle.

—Podać rzutkę na górę!

Zwój linki wędruje w ciemną czeluść kiosku. W pierwszej chwili nie rozumiem celu tego rozkazu.

—Amunicja stop!!

—Oba motory stop! Lewy motor pół wstecz! . . . Lewy stop!

—Aha, rozbitkowie.

—Przygotować się do przyjęcia jeńców!

No, jesteśmy gotowi. Co tu zresztą jest do przygotowania. Upływa może dwie, może trzy minuty. Włożyłem kurtkę od munduru, żeby "Szkopy" wiedziały z kim mają do czynienia.

Niezdarne człapanie w kiosku po drabinie. Kapie najpierw woda, potem widać jedną bosą nogę, a drugą w wojskowych onucach. Ciemno-zielone spodnie i stalowego koloru kurtka. Naszywka, swastyka. Sierżant.

Stanął w centrali i podniósł rękę w pozdrowieniu hitlerowskim. Spojrzał niepewnie naokół po ponurych twarzach i przyciągnął dłoń do furażerki, która jakimś cudem została mu na głowie. Nie powiedział nic.

Było jeszcze trzech. Bosman okrętowy popchnął ostatniego za łokieć.

—No, marsz na dziób.

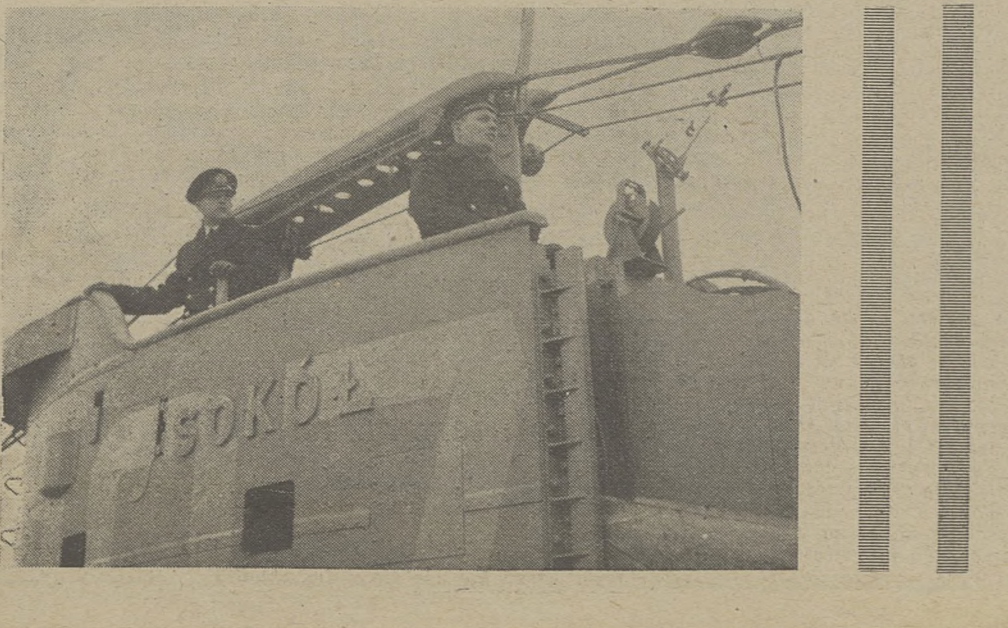
—Trzeba im dać jakie suche łachy, dopóki nie wyschną, bosmanie — mówię — i zaraz ich obszukamy. Karol, idź do tej uroczystości, ja muszę zostać w centrali.

Z góry zbiegła obsada działa. Nikt nie ranny; dwa pociski z czterdziestki trafiły w pokład, ale nie wyrządziły żadnych szkód.

Włączamy Diesle i odchodzimy z tego miejsca. Wychodzę na pomost kończyć wachtę.

—Uważaj dobrze — mówi dowódca — ja pójdę obejrzeć naszych ptaszków.

Po wachcie dowiedziałem się, że było ich czterdziestu dwóch na szkunerze; jechali na urlopy świąteczne. Jeden jechał do Poznania, gdzie ostatnio została osiedlona jego rodzina . . .



*ANDRZEJ GUZOWSKI*

# Junacy wystawiają "Halkę"

## (Korespondencja własna "Polski Walczącej"*)



Uśmiech młodości

*m.p. Środkowy Wschód, w styczniu 1944*

Kadeci mają najlepszy chór, są i soliści, a nieznany przedtem na Środkowym Wschodzie repertuar piosenek żołnierskich, powstałych w Rosji, wzrusza słuchaczy w mundurach, czy uchodźców w Jerozolimie i Tel-Avivie. Chór pracuje pilnie nie tylko nad takim programem.

W świetlicy Polskiej Y.M.C.A., na próbach chóru, słychać i dawne rzeczy polskie, zwłaszcza Moniuszko dobrze wychodzi w tym zespole tak trudnym, bo niemal ciągle przechodzącym mutacje. Chór śpiewa "Halkę", raz, drugi, i chce jeszcze. Kierownik, niezmordowany st. strzelec U., o nazwisku bardzo znanym w Warszawie, docenia zapał młodzieży, docenia własne siły i — porywa się na rzecz wielką: wystawi "Halkę"!

Koledzy nauczyciele stukają się w głowę: — "Staś zwariował". Ale Staś jest uparty. Dowódca Szkół Junaków, pracy kulturalnej zawsze bardzo życzliwy, daje swą aprobatę. Zaczyna się w kwietniu 1943 roku, a już 27 czerwca w dzień trzech solenizantów — Prezydenta R.P., generała Sikorskiego i generała Andersa — odbywa się premiera "Halki".

Trzy akty są fragmentem opery Moniuszki, fragmentem przede wszystkim chóralnym, są jednak i partie solowe. Wykonawcy, to junacy i młodsze ochotniczki z wyjątkiem samej Halki i Zosi, obsadzonych przez nauczycielki śpiewu.

Przygotowania są trudne, próby niesłychanie uciążliwe przy i tak już wielkim przeciążeniu codziennymi zajęciami. Młodsze ochotniczki przyjeżdżają na próby z innego m.p., osobno odbywają się lekcje tańca — mazura i zbójnickiego. Pierwsza, druga i trzecia lekcja tańca, to rozpacz. Dziewczęta tańczą naturalnie ładnie, właściwie nie trzeba je uczyć. Kadeci niestety — jak niedźwiadki. Chór wypada najlepiej, zwłaszcza mieszany.

Ale gdzie dekoracje, gdzie kostiumy? Polska Y.M.C.A. otwiera pracownię artystyczną, daje pracownice. Dekoracje opracowuje art. malarz Tadeusz Terlecki przy współudziale p. J. Prażmowskiej. "Imka" daje także całą organizację techniczną przewidywanych przedstawień.

Nagi niedawno projekt nabiera barwy, życia, treści, ba! zapowiada się nawet "imponująco" lub "katastrofalnie", zależnie od zasadniczej postawy krytyków.

Premiera w wielkiej sali kina obozowego w największym m.p. junackim gdzieś w Palestynie, jest triumfem wykonawców, przede wszystkim inicjatora i dyrygenta st. strz. U., wielkim sukcesem "imkarskich" kostiumów. Przedstawienie jest barwne, chóry wypadają bardzo dobrze, soliści — taki n.p. 16-letni Jontek — nie stoją oczywiście na poziomie Kiepury, ale tego przecież nikt nie oczekiwał. Mimo wszystko, to jest jednak Moniuszkowska "Halka", wprawdzie bez orkiestry /zastępują ją dwa pianina/, ale z wykonawcami, którzy czarem swej radosnej młodości, siłą swego ogromnego wysiłku, dokonanego w czasie dosłownie ukradzionym wypoczynkowi, nieprzepartym wdziękiem wyczarowują widowisko jedyne, pierwsze w tej długiej już serii przedstawień polskich, oglądanych na Środkowym Wschodzie.

Premiera, jak zwykle, nie jest jeszcze bez zarzutu. Ale już na drugi dzień Naczelny Wódz generał Sikorski, który tutaj odebrał swą ostatnią w życiu defiladę, defiladę młodzieży junackiej, nie może oczu oderwać od zaprezentowanego mu jednego aktu junackiej "Halki". Mazur wypada, jakby tańczyła go młodzież nie na scenie, a gdzieś między sobą.

A potem idą dalsze przedstawienia, różne — w rozmaitych warunkach obozowych i miejskich. W Jerozolimie wielka sala "Edisona", mieszcząca ponad 1000 osób, jest szczelnie nabita. Sukces zupełny. Naturalnie nie wolno patrzeć na tę "Halkę", tak inną od przedwojennych, zawodowych, jak na widowisko czysto artystyczne. Przecież, raz jeszcze powiedzmy, Jontek ma lat 16, a całość wykonuje młodzież, ta sama, która przechodziła tyle lat poniewierki, a przedtem często nawet nie widziała takich przedstawień. Wreszcie, czyż to nie ona właśnie po raz pierwszy wystawiła operę polską, tutaj na Wschodzie?

Oddźwięk jest wielki, również w Tel-Avivie, ale największy w obozach wojska polskiego, gdzie gra się i śpiewa w warunkach technicznie fatalnych, ale uczuciowo najlepszych, wprost wymarzonych. Sale kinowe przepełnione do granic wytrzymałości. Jest lipiec, sierpień: gorąco straszne. Ale na widowni cisza skupiona, na widowni wzruszenie miesza się z radosnym poklaskiem.

W jednym tylko obozie trzy przedstawienia dzień po dniu mają komplet widowni, już w przedsprzedaży, wieczorem setki żołnierzy odchodzą od kasy. Referat oświatowy obozu domaga się więcej przedstawień. Jednak zaczyna się rok szkolny. Nauka ma pierwszeństwo.



Naczelny Wódz wśród wykonawców "Halki"

W Rehovoth, ładnym miasteczku palestyńskim, jest też przedstawienie junackie. Warunki znakomite, sala piękna, scena wielka. A jednak haczy się wszystko, czołowa tancerka, wdzięczna Zosia dostaje ataku malarii, Jontek jest niedysponowany, a najgorsze, że akustyka sali nawala. Co się stało? Po prostu młode głosy "idą pod niebiosy", całkiem dosłownie. Nie ma dachu. Wszystko ucieka w niebo, jaskrawo gwiazdami wybite. To tuż przed pierwszym aktem jeden z dekoratorów /też junacy/ majstrując, kręcąc i zaglądając wszędzie, pokręcił zbyt wiele a niedobrze, i nagle — rozsunął dach, otwierany automatycznie. Miejscowy spec poszedł i "Halkę" trzeba było śpiewać pod gołym niebem, za to bez akustyki.

Zupełnie inna jest znów "Halka", zaimprowizowana w angielskim obozie warsztatowym, w którym ulokowała się jedna z mechanicznych szkół junackich. Kilka dni przed przedstawieniem, o które bardzo ubiegają się Anglicy, oglądamy salę. Rozpacz! Sali nie ma. Jest tylko ogromna, na jakieś 5000 osób hala montażowa, przeraźliwie wysoka, bez bocznych ścian. Nie ma też sceny, nie ma niczego. "*Never mind*" — mówią Anglicy — wszystko będzie, co chcecie. Nie bardzo się pocieszamy, bo łatwiej by tu jeździć autem, a jak przesadzają trochę dziewczęta, latać samolotem, niż grać i śpiewać. Ale grać trzeba!

W dniu przedstawienia jest wszystko. Anglicy są słowni. Saperzy postawili ogromną scenę, założyli światła, zawiesili junacką /a jakże!/ kurtynę, sprowadzili liczną, przeszło tysięczną publiczność, częściowo murzyńską. Po przedstawieniu gościnni gospodarze zapewniają, że wszystko było "*very nice*", czemu nie bardzo wierzymy. Nasi nie grali na zwykłym poziomie. Warunki były zbyt trudne i trzeba by zawodowych aktorów, żeby nie speszyć się tą obcą, biało-czarną widownią. Jeszcze jedno doświadczenie więcej.

Ostatni w 1943 roku pokaz junackiej "Halki" ogląda Wódz Naczelny generał Sosnkowski. Chociaż tylko jeden akt, ale wystarcza! Gościowi i wykonawcom. Nic nie zaszkodziła długa przerwa bez prób, odległość m.p. młodszych ochotniczek, uniemożliwiająca lepsze przypomnienie. Akt wychodzi wspaniale.

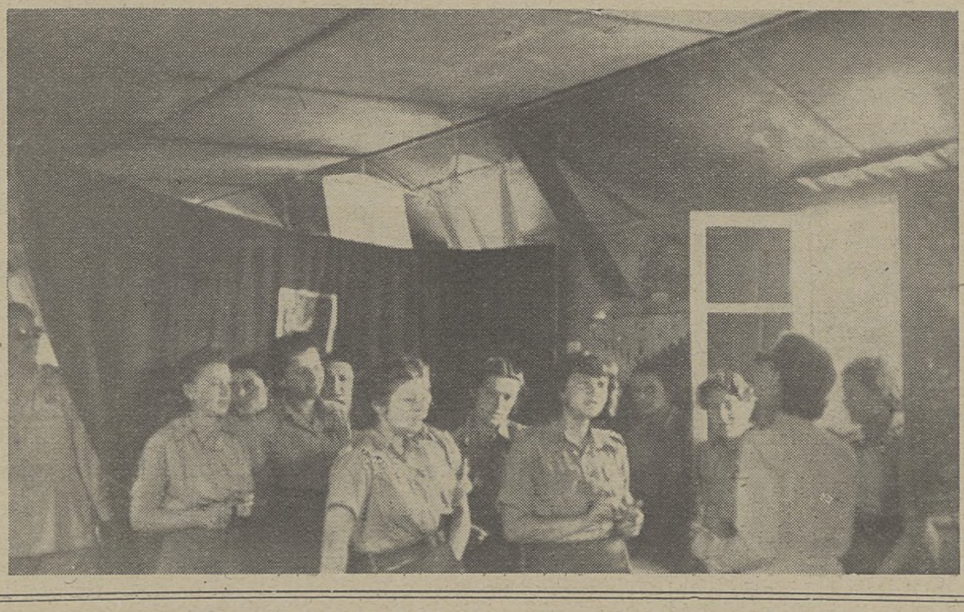
Rozmach najlepszej jakości bije z obozowej sceny, to młodość tańczy tutaj swego mazura i zbójnickiego, młodość, która znów się odnalazła w pieśni polskiej i w tańcu. Młodość uśmiechnięta, urodą zwycięska.

Jedenaście przedstawień junackiej "Halki", to nie tylko część historii odradzania się młodzieży polskiej na Ziemi Świętej, jej pracy i dążeń. Ale to również cenny wkład w psychikę tej smutnej na ogół młodzieży, wkład uśmiechu, radości i siły. Junacy i młodsze ochotniczki oglądające tę "Halkę" poprawili swą kondycję duchową na pewno.

Nabrali większej młodości.

TADEUSZ PNIEWSKI

Próba chóru w świetlicy "Imki"



* Por. poprzednie korespondencje z tego cyklu "Szkraby i dryblasy" druk. w nr. 14-15, "Pensjonarki w mundurach" druk. w nr. 18 "Polski Walczącej" z b.r. W jednym z najbliższych numerów: "Kapliczka na rozstaju dróg".

# DWUNASTY MAJA

*Ubiegły tydzień przyniósł dwa doniosłe wydarzenia w życiu naszej zbiorowości żołnierskiej. Dwunastego maja wszedł do akcji bojowej na wielką skalę II. Korpus polski we Włoszech. Tego samego dnia Prezydent Rzeczypospolitej z tytułu przysługującego mu konstytucyjnie prawa podpisał amnestię dla skazanych na podstawie kodeksu wojskowego.*

*Zbieżność tych dwóch faktów nie jest przypadkowa — jest świadoma i pełna głębokiej wymowy. Oczywiście chwila, w której żołnierz polski mógł podjąć znowu walkę, zależała od wielu czynników, od wielu okoliczności, znajdujących się poza zasięgiem naszego wpływu. Ale związanie z tym dniem gestu przebaczenia było zrobione celowo.*

*W chwili, gdy żołnierz polski znowu przelewa krew, gdy jeszcze raz składa świadectwo swojej wierności, niezłomności swojej woli — amnestia otwiera drogę do rehabilitacji tym wszystkim, którzy popełnili przewinienia i otrzymali za nie przewidziany przez prawo wymiar kary. W chwili, gdy zaczyna się najcięższy, ale ostatni etap walki, gdy otwiera się ostatni także etap drogi powrotnej do Ojczyzny — wszyscy otrzymują jednaką możliwość spłacenia długu wobec Kraju, jednaką możliwość zasłużenia sobie na powrót w jego granice. To jest istotny sens moralny i wychowawczy ogłoszonego aktu.*

*Ma sens moralny także data trzeciego maja, jako termin amnestii, jako granica, od której wstecz następuje odpuszczenie, względnie zmniejszenie kary. Świadomie przyjęto tę datę. Jest to dzień święta narodowego, jest to dzień, z którym łączy się pamięć Konstytucji, poczętej w duchu bratniej jedności i zespolenia — dla obrony wartości wspólnych i najwyższych. Wszyscy dziś stoimy przed zadaniem walki o wartości wspólne, najwyższe, najdroższe każdemu, kto czuje się obywatelem Rzeczypospolitej.*

*Amnestia obejmuje także grupkę niedawno skazanych dezerterów. Jednak było by błędem ograniczać praktyczne znaczenie najwyższej decyzji tylko do nich. Dzięki temu aktowi setki naszych kolegów tu i na Bliskim Wschodzie otrzymują szansę powrotu do szeregów, oczyszczenia się, spełnienia razem z nami żołnierskiego obowiązku.*

*My żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na ziemi brytyjskiej doceniamy znaczenie gestu, jaki stanowi amnestia. Jakkolwiek bolesne były pewne ostatnie wydarzenia, witamy ten gest jako nakaz obowiązujący nas wszystkich. Przyjmiemy po bratersku i żołniersku tych, których decyzja Głowy Państwa zwróci naszym szeregom.*

*Przyjmiemy ich tym serdeczniej, że myśl nasza kieruje się w tej chwili ku ziemi włoskiej, na której znowu leje się krew polska, że kieruje się też ku innym widnokręgom, ku widokom stanowiącym obietnicę walki także dla nas. Poza linią, którą II. Korpus forsuje bagnetami, poza zamkniętym jeszcze i milczącym widnokręgiem przed nami — leży droga ku wolnej, wspólnej, sprawiedliwej Ojczyźnie. I to tylko jest ważne!*

*Ciężkie były dla II. Korpusu polskiego we Włoszech, ciężkie są dla nas ostatnie godziny przed nową próbą, nie lekko je przetrzymać kolegom lotnikom i marynarzom, walczącym ciągle, bez przerwy, z nieustającą ani na chwilę ofiarnością. Uderza w nas, w nasze dobre imię, w naszą wolę i wiarę pasja nienawiści, zapamiętała pasja, aby nam szkodzić. Z niespodziewanych stron przychodzi im sukurs. Żołnierze II. Korpusu odpowiedzieli już na to językiem, jakim zwykli odpowiadać żołnierze. Takim samym językiem odpowiemy my, których los skazał na najdłuższe i najtrudniejsze oczekiwanie, na najtrudniejsze milczenie.*

*Akt z dnia dwunastego maja tłomaczy na język prawa, na język moralności międzyludzkiej sens walki, trwającej od września 1939 roku. "O sprawiedliwą bijemy się rzecz". Kto sprawiedliwy, kto prawy, kto czysty w sumieniu — jest z nami.*

*ALEKSANDER JANOWSKI*

# Amerykański uśmiech

## *(Zjazd ochotników z Ameryki i Kanady żołnierzy WP.)*



*Pporucznik Tice — Amerykanin w Wojsku Polskim*

Porucznik Tice nie lubi, aby go tytułowano "porucznikiem".

—Jestem "Dick", po prostu Dick, a nie żaden porucznik — zwraca uwagę.

Niechże więc będzie tym "Dickiem", skoro sam tak chce. Porucznik Tice jest w Wojsku Polskim od trzech lat. Jest Amerykaninem, nie mającym nic wspólnego z Polską. I gdyby nawet ktoś bardzo się upierał, nie znajdzie polskiej krwi w żadnym z poprzedzających Dicka pokoleniu.

Tice wstąpił do Wojska Polskiego wówczas, kiedy Stany Zjednoczone jeszcze nie były w wojnie. I pozostaje do dziś. Najpierw był w Kanadzie, gdzie odbył przeszkolenie rekruckie, potem przyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie dostał się do Brygady Spadochronowej. No a teraz jest podporucznikiem. Przez czas swojej służby wojskowej Dick nauczył się po polsku i może dzisiaj wyrazić w naszym języku nie tylko najprymitywniejsze sprawy, ale może mówić o wszystkim od wielkich zagadnień międzynarodowych począwszy a na ćwiczeniach wojskowych skończywszy.

Śmieje się jednak nadal po swojemu — po amerykańsku. Bo ten "amerykański śmiech" jest czymś całkiem innym od naszego. Jest bardziej pełny, bezpośredniejszy . . . Po prostu słysząc śmiech Dicka, mam wrażenie, że śmieje się całym sobą; a nie tylko wargami i gardłem. Śmieją się jego oczy, śmieją się wspaniałe, równiuteńkie zęby, śmieje się cała młodzieńcza postać dwudziestokilkoletniego oficera polskiego.

Co go skłoniło do wstąpienia w polskie szeregi — nie trudno zgadnąć. Czyny wojenne, dzieje orężnych zmagań i zwycięstw, bohaterstwo, zdolność do najwyższych ofiar i poświęcenia przewijały się subtelną nicią legendy w życiu wszystkich narodów. Do czynów orężnych sięgała pieśń, aby ich sławę przekazywać następnym pokoleniom. Muza skłaniała się do walk ofiarnych, aby uwieczniać je wawrzynem nieśmiertelności.

I wszystkie dzieci wszystkich narodów świata karmiły się pieśniami i legendami, wchłaniając ich treść całą duszą, aby przekształcać w rozpalonych główkach dziecinnych legendy w marzenia, w których na wielkich pobojowiskach widziały same siebie w roli głównych bohaterów. I śniły sen o sławie — nieśmiertelny, jak sama sława.

Cóż z tego, że drapacze chmur przesłaniały błękitne niebo, a gwar olbrzymich miast tętnił nieustannymi odgłosami ulicznego ruchu? Dziecko zrastało się z nieuchwytnym, wyśnionym obrazem, dając mu serdeczne ramy własnej duszy; od nich obrazu nie mógł już oddzielić ani bieg wydarzeń, ani bieg czasu.

"Sława Miltiadesa spędzała sen z powiek" nie tylko Themistoklesa, ale z powiek wielu dzieci na świecie, które rosły w miłości przebrzmiałych pieśni o bohaterstwie. I miłość tę niosły przed siebie w życie.

Trzy lata temu młodzież całego świata wierzyła, że wojna obecna toczy się o lepsze i sprawiedliwe jutro wszystkich narodów — wierzyła, że wojna obecna jest gigantycznym pojedynkiem słuszności i przemocy. I stawała po stronie słuszności wierząc, iż ona zwycięży i okryje żołnierzy słusznej sprawy wawrzynem nieśmiertelności.

A czy jest na świecie słuszniejsza od polskiej sprawa? Nie ma. Na pewno nie ma. Wie o tym cały świat, a trzy lata temu miał jeszcze dosyć sił, aby to otwarcie głosić. Przynajmniej w wielkiej ojczyźnie wolności — w Stanach Zjednoczonych.

Oto dlaczego Dick jest w Wojsku Polskim. I oto dlaczego w naszych szeregach mamy Amerykanów i Kanadyjczyków polskiego pochodzenia. Bo przecież — powiedzmy szczerze — są to nie tylko obywatele amerykańscy, ale i patrioci amerykańscy.

Zjazd ochotników z Ameryki i Kanady w Polskich Siłach Zbrojnych, odbyty w pierwszej dekadzie maja rb. w Edynburgu był znakomitym świadectwem zarówno tej prawdy, że są to Amerykanie, jak i tej, że głęboko wyryty mają w sercach szacunek i kult dla polskości. I jeszcze jedną mają cechę: pogodę wewnętrzną i zewnętrzną. Naprawdę zastanawiałem się i podczas posiłków i podczas obrad tego zjazdu, czy ci wszyscy ludzie, których widzę, mają specjalne powody do pogody ducha. I dotychczas nie odpowiedziałem sobie na to pytanie.

Spójrzcie na salę. Znajduje się w niej ponad 50 osób w mundurach lotniczych i lądowych. Marynarze nie mogli przyjechać. Pewno pozwolenia i przepustki przyszły zapóźno, a może właśnie nie mogli mieć przepustek? Wśród tych przeszło 50-ciu osób widzę tylko dwie gwiazdki oficerskie: jedną ma Dick, czystej krwi Amerykanin, drugą zaś Amerykanin pochodzenia polskiego, niezwykle blisko związany z polskością. Sądzę, że jest on właściwie obywatelem amerykańskim narodowości polskiej. Spośród wszystkich zebranych tylko jeden jest uczniem Szkoły Podchorążych.

Patrzę na tę salę i stwierdzam, że ochotnicy do Wojska Polskiego z Ameryki i Kanady nie zrobili wśród nas kariery wojskowej. Ochotniczki — również nie. Tylko jedna jest podporucznikiem P.S.W.K. I wyobrażam sobie zjazd tej samej ilości osób, któreby tak samo przez trzy lata przebywały w wojsku niemal nie awansując . . . Na pewno nie było by na takim zjeździe tej pogody, która cechowała Amerykanów i Kanadyjczyków, ochotników Polskich Sił Zbrojnych.

W tym czasie sekretarz generalny zdawał zjazdowi sprawozdanie, z którego jasno wynika, iż zarząd Komitetu Ochotników z Ameryki i Kanady w Polskich Siłach Zbrojnych uczynił wszystko, co mógł, aby zapewnić członkom prawo występowania w mundurach polskich po wojnie w czasie uroczystości polskich w Ameryce. Nie jest to wielkie zagadnienie. Ale podkreślić je trzeba, bo nie ma i nie może być większego świadectwa miłości munduru polskiego, jak właśnie ten krok zarządu Komitetu.

Ze sprawozdania dowiadujemy się również o żywym kontakcie Komitetu z Polonią Amerykańską, a z zamierzeń na przyszłość o konieczności zapewnienia inwalidom wojennym dostatecznych środków do życia. Słucham z rozwieszonymi uszami, bo znowu ze słów sprawozdawcy bije najwyższa prostota. Mówi mniej więcej tak:

Będziemy musieli zwrócić się do Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej w Chicago o zapewnienie naszemu koledze Bronisławowi Godlewskiemu większej opieki i pomocy. Wprawdzie Polonia Amerykańska zebrała dla niego 10.000 dolarów, ale to mało, bo kolega Godlewski stracił na wojnie obie ręce, a więc jest stuprocentowym inwalidą.

Kolega Bronisław Godlewski! Przecież jest to najbardziej odznaczony żołnierz w wojnie obecnej. Przecież jest to ochotnik ze Stanów Zjednoczonych, jeden z najmłodszych żołnierzy, bo ma teraz dopiero 20 lat. Przecież właśnie Godlewski jest już dzisiaj symbolem najszlachetniejszej ofiary, składanej na ołtarzu zwycięstwa sprawiedliwości i słuszności nad przemocą i brutalną siłą. Oczywiście, że mu się należy. Bo zabezpieczenie przyszłości Godlewskiego od dawna przestało być sprawą osobistą, stając się zagadnieniem wychowawczym. On szedł do wojska wiedziony urokiem legendy i pieśni o bohaterstwie i sławie, i wierzył, że bohaterstwo w obronie sprawy słusznej musi być nagrodzone.

Ale te same słowa na zjeździe edynburskim brzmią inaczej. I przyznać muszę, że lepiej, bo prościej. "Będziemy musieli zwrócić się do Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej w Chicago o zapewnienie koledze naszemu Bronisławowi Godlewskiemu większej opieki i pomocy". Bo mu się ta "pomoc i opieka" należą.

I jestem pewien, że pod listem Zarządu Komitetu Ochotników Amerykan i Kanadyjczyków w Polskich Siłach Zbrojnych podpisuje się zgodna opinia żołnierska.

Zjazd toczy się dalej. W atmosferze prostych słów, spraw koleżeńskich i wzajemnej serdeczności sprawozdanie dobiega końca. I na tym kończy się pierwsze plenum.

Bo zjazd jest zorganizowany po amerykańsku: namyślcie się przed zabraniem głosu w dyskusji, która odbędzie się dopiero jutro. Ta inowacja specjalnie przypadła mi do gustu i sądzę, że wiele zjazdów powinno ją przyswoić.

Wszechstronny uczeń Szkoły Podchorążych zasiadł do fortepianu, grupki rozbiły się po kątach wielkiej sali zjazdowej, zwolennicy piwa zasiedli w czytelni w oczekiwaniu na otwarcie barów na mieście, a większość rozsiadła się przy czystych stołach sali jadalnej, gdzie znowu panuje uśmiech.

A mnie znów nasuwają się porównania. Dlaczego polski klub żołnierski musi mieć nastrój kiepskiej jadłodajni? Dlaczego polski klub żołnierski m u s i mieć na stołach brudne obrusy? Dlaczego ręcznik w umywalni jedynego polskiego klubu żołnierskiego w Wielkiej Brytanii nigdy nie jest czysty?

I wreszcie dlaczego doskonały posiłek w Amerykańskim Czerwonym Krzyżu kosztuje 1/3 /dosłownie jeden shiling trzy pensy/, a w jedynym polskim klubie żołnierskim w Wielkiej Brytanii znacznie drożej? Żołnierz polski ma grubo niższy żołd od amerykańskiego.

Doszedłem do wniosku, że jest to skutek amerykańskiego uśmiechu. Skutek dobry i . . . praktyczny. Bo przecież łatwiej jest zebrać okruszyny chleba ze stołu nieprzykrytego obrusem, niż z obrusu. I czyściej i wygodniej. Tam zaś, gdzie jest wygoda i czystość, uśmiech panować musi.

Widocznie są jakieś inne założenia, inne podstawy, na których opierają się w tym samym celu tworzone instytucje nasze i amerykańskie.

Są również inne założenia i samego zjazdu koleżeńskiego. Jeszcze w pierwszym dniu wieczorem odbyło się zebranie towarzyskie, wypełnione anegdotami i śpiewami, opowiadaniami i dowcipem. I okazało się, że tak łatwo i prosto jest znaleźć to, co ludzi łączy, a nie dzieli. Zresztą nie tylko "na wesoło", bo kulminacyjnym punktem tego wieczoru było opowiadanie p. Bielaka o Kraju, wysłuchane z zapartym tchem przez wszystkich.

Tak zakończył się pierwszy dzień zjazdu.

Nazajutrz rozpoczęto mszą za poległych ochotników z Ameryki i Kanady. I tu należy powiedzieć, że w Polskich Siłach Zbrojnych zginęło ich jedenastu: 7-miu w lotnictwie i 4-ech w marynarce. Nie każdy z nas wie o tym. A wiedzieć powinien, bo krew ta przelana została w służbie Sprawy Polskiej — w służbie tym szlachetniejszej, że nakazanej samemu sobie dobrowolnie.

Po południu zebrało się drugie plenum zjazdu. Przybył na nie Generał Dowódca WP. w Wielkiej Brytanii, który z zaciekawieniem słuchał przebiegu zjazdu.

Plenum to było uroczyste. Ale nie cechowała go bezduszna pompa — proste było, jak cały zjazd.

—Kto będzie przewodniczył?

Sprawa była jasna dla wszystkich.

—Kol. Dolaciński.

Bo kol. Dolaciński w mundurze polskim odbywa już drugą wojnę. Był w swoim czasie najmłodszym żołnierzem armii gen. Hallera, dzisiaj jest znowu w Wojsku Polskim. I znowu jest ochotnikiem. Nie wiem, co robi w cywilu — w wojsku jest starszym strzelcem, co chyba nie świadczy o zawrotnej karierze, jak na niemal 30 lat.

Przewodniczący otwiera plenum, wita Dowódcę WP. w W. Brytanii i prosi go o przemówienie do zebranych. A natychmiast po przemówieniu zarządza przerwę, aby dać możność zarówno Dowódcy WP. w W. Brytanii, jak i uczestnikom zjazdu wzajemnej rozmowy.

Cóż dziwnego, że wszyscy żołnierze są zadowoleni? Nie mają oni zbyt częstych okazyj do prowadzenia rozmów z Generałem-Dowódcą. Naturalnie fotograf uwija się po sali, bo wszyscy chcą mieć na pamiątkę fotografię z tej okazji.

I znowu robi się nastrój. Serdeczny, pogodny nastrój wzajemnej życzliwości i zrozumienia. A to jest chyba nawiększą zaletą organizacji wszelkich koleżeńskich zebrań i zjazdów.

Przemówienie przedstawiciela Światowego Związku Polaków z Zagranicy, niezwykle trafne i znakomicie przemyślane, krótkie mowy obecnych na sali Polaków z Francji i Belgii, oraz p. Bielaka, który — jak wiadomo — przed kilku miesiącami opuścił Kraj przyjmowane są z najwyższym zadowoleniem. Bo w atmosferze wzajemnej życzliwości i serdeczności wszyscy mówcy dobierają najprostszych słów — takich, które wprost w serca trafiają.

A serca te są czułe i szlachetne. Przejawia się to najlepiej w dwu rezolucjach, uchwalonych przez zjazd. Jedna dotyczy rzekomego antysemityzmu w Wojsku Polskim, druga niektórych jednostek polskich z Ameryki, uzurpujących sobie prawo przemawiania w imieniu Polonii Amerykańskiej w rozmowach z rządami innych państw.

Pierwsza rezolucja głosi, że odbywając od szeregu lat służbę w różnych oddziałach Wojska Polskiego ochotnicy z Ameryki i Kanady nie zauważyli objawów antysemityzmu. Być może zdarzały się sporadyczne wypadki, wynikające jednak z nieżołnierskiego zachowania się niektórych jednostek, a nie z powodu różnicy rasy, lub wyznania.

Druga rezolucja stwierdza, że tylko Kongres organizacyj polskich w Ameryce ma prawo udzielania pełnomocnictw do prowadzenia jakichkolwiek rozmów z przedstawicielami innych państw w imieniu Polonii Amerykańskiej.

I tak się zjazd kończy. Jeszcze kilka głosów o sprawozdaniu, złożonym przez sekretarza w dniu poprzednim, wolne głosy i wnioski i zamknięcie. I znowu pogodne sale Amerykańskiego Czerwonego Krzyża zapełniają się grupkami zjazdowiczów, oczekujących wieczornego dancingu, podczas którego niespodziankę sprawiła Lwowska Fala.

I tu znowu wrócimy do organizacji. Dancing zapowiedziany jest od dawna. To też po zamknięciu zjazdu z sali natychmiast usunięto krzesła, jeszcze raz przejechano posadzkę szczotkami i sprawdzono gramofon. O godzinie siódmej zaczął się dancing. Pełno na nim było Amerykanów i Kanadyjczyków. Bardzo wielu było Polaków. Przemieszały się ze sobą ciemniejsze kurtki oficerskie i marynarskie bluzy, battle-dressy i amerykańskie mundury. I zabawa odbywała się w najlepsze.

W pewnej chwili jeden z Polaków zapowiedział: "Mamy wśród nas polską czołówkę. Za chwilę zrobią koncert". Zarząd klubu był wdzięczny za ten pomysł. Nikomu nie przyszło do głowy, że przecież za chwilę sala będzie pełna niedopałków, że trzeba znowu ustawiać krzesła, i że w ogóle . . .

Koncert był doskonały. Publiczność słuchała go bardzo uważnie i szczerze cieszyła się z każdego dowcipu. "Lwowskiej Fali" należy się, naprawdę należy się złożyć gratulacje za ten koncert, o którym Amerykanie mówili z najwyższym uznaniem, podkreślając, że dotychczas nigdy nie mieli okazji słyszeć polskiej muzyki i śpiewu, lub widzieć polskich aktorów.

Rozpisałem się o całym zjeździe może nadmiernie, ale sądzę, że słusznie. Warto jest bowiem podkreślić wszystko, co jest dodatnie i warto stwierdzić kilka oczywistych prawd, dotyczących nie tylko dziedziny organizacyjnej, w której okazujemy się dziećmi w porównaniu z Amerykanami. Warto jest również w czasach niezwykle trudnych i ciężkich spojrzeć na uśmiech amerykański, spojrzeć na systematycznie gaszone wartości dalekich ech legendy i pieśni, na których wyrośliśmy wszyscy. Warto po prostu dlatego, że łatwiej jest żyć i łatwiej jest wbrew nadziei wierzyć, iż ostateczne zwycięstwo odniesie sprawiedliwość i słuszność. Tak, jak je w legendach odnosi.

I dobrze jest — chociażby przez jedną chwilę — marzyć, że w świecie jutra wszyscy będziemy śmieli się "po amerykańsku": śmiechem pełnym, młodzieńczym, szczerym. Takim samym, jak śmieje się Dick — Amerykanin oficer Wojsk Polskich — takim samym, jak śmieją się wszyscy ochotnicy z Ameryki i Kanady w Polskich Siłach Zbrojnych, do których przyprowadziła ich szlachetna troska o lepszy świat.

JANUSZ LASKOWSKI

*General Głuchowski wśród uczestników Zjazdu*



# Bez blackoutu

*Drogi Redaktorze!*

*To nie jest list z podróży, jak obiecywałem, gdyż sześcio-tygodniowy objazd polskich dywizjonów lotniczych, szkół pilotażu i obozów naszych marynarzy, nie stwarzał ku temu żadnych możliwości; pracowaliśmy z brytyjską E.N.S.A. a wiadomo, że Anglicy dają teraz tempo . . . inwazyjne nawet takim objazdom oświatowo-propagandowym. Sądzę jednak, że Czytelnicy powitali tę kilkutygodniową przerwę w felietonach "Bez blackoutu" jako miłą niespodziankę ze strony redakcji "Polski Walczącej". Jak ludzie są bardzo spragnieni sensacji przekonałem się z racji tej krótkiej przerwy w mojej skromnej pisaninie; na terenie Anglii dowiedziałem się, że mnie . . . zamknęli /kto i za co nie wiadomo/, w Londynie powiedziano mi, że byłem we Włoszech pod Anzio /jeszcze mnie tam brakowało!/, a w Szkocji doszła do mnie — oczywiście pocztą pantoflową — wersja, że podobno zbiegłem do lotnictwa, ponieważ w armii lądowej sekowali mnie jako . . . ciemnego bruneta.*

*Poczta pantoflowa działa chyba najsprawniej ze wszystkich naszych organów. Czy tylko naszych? Czy przede wszystkim . . . nie naszych? Sypie ona wiadomościami i próbuje zatruwać myśli. Jak dziwnie zbiega się w czasie jej praca z przygotowaniami Wojska Polskiego w Wielkiej Brytanii. Kogoś bardzo boli i ten II Korpus na froncie włoskim i ten I na froncie brytyjskim, czekający na rozkaz. Warto by wiedzieć, jaki to tajemniczy "korpus" siedząc na tyle, rozwija przeciw nam wymyślny front trików i trujących gadek.*

*Dziw, że ten prawdziwy "corpus delicti" nie zraził się do tej pory swoimi niepowodzeniami. Czasem przypomina on słynną z Polski aferę "Czarnej Ręki". Mniej więcej jest na tym poziomie. Ledwie wymyśli gadkę o Montgomerym, któremu nie podobała się polska dywizja pancerna . . . na ćwiczeniach w Szkocji, już się dowiaduję, że "Monty" w ogóle żadnych ćwiczeń nie oglądał, bo ich nie było. Po prostu tylko swoim ulubionym zwyczajem nakazał zgrupowanie ludzi, chodził i patrzył długo w oczy żołnierzom polskim. Wiemy co z nich mógł wyczytać. Że była to opinia bardzo pochlebna, że o polskiej dywizji pancernej mówi się dobrze wśród Brytyjczyków — dowód mamy w rozhulałej plotce poczty pantoflowej, która na gwałt postanowiła psuć opinię Polakom, zmieniać fakty i fabrykować śmieszne, "autentyczne" opowiadania.*

*"Czarna Ręka" nie może ukryć irytacji. Boli ją właściwie wszystko a przede wszystkim: nastrój wojska, duch żołnierski, harmonia między oficerami i szeregowymi; boli ją ta odporność, godna podziwu polska odporność żołnierska na wszelkie próby nieprzebierającej w środkach obcej propagandy. Żołnierze kpinami i żartem odparowują ciosy, kpią sobie i z tej "Wandy", co chciała Niemca i gada przez tubę Goebbelsa biblijnym językiem, kusząc trzy razy dziennie i z tego "wielebnego" Orientalskiego /nie tyle od orientacji, co od Orientu/.*

*Polacy notują bardzo skrzętnie wszelkie poważne głosy dochodzące z U.S.A., wszelkie życzliwe słowa, które padają mimo wszystko z ust wybitnych Anglików i Szkotów na terenie Wielkiej Brytanii. Słuchamy spokojnie. Nauczyliśmy się ostrożności. Tej szczypty soli attyckiej zawsze nam brakowało w rozumowaniu i w przyjmowaniu pewnych rzeczy. To, że nas oblano parę razy dosłownie "bieżącą" wodą pod prysznicem wielkiej polityki — zahartowało nas. I to jest jedna z ważniejszych zdobyczy, którą przyniósł nam ostatnio przeżywany okres wojny nerwów.*

*Zaobserwowałem, że cywilna emigracja polska łatwiej ulega tej wojnie nerwów, żyjąc w rozprószeniu, indywidualnie, natomiast żołnierz, którego całe życie jest związane ze zbiorowością, łatwiej zdobywa się na odporność. Posząc "żołnierz", myślę: lotnik, marynarz, spadochroniarz, pancerniak, artylerzysta, któremu wystarczy popatrzyć w oczy, by zrozumieć, co myśli, jak czuje i upewnić się, że nie zawiedzie. Pisząc: "Czarna Ręka", myślę o tajemniczej nagonce rozpętanej przeciw temu żołnierzowi w Wielkiej Brytanii, myślę o straszliwej krzywdzie, w której hartują się charaktery i zaciskają pięści /nie w kułak!/. Niewątpliwie tajemnicza ta siła wymyśli po nieudałych występach nowe, puści niedługo świeże gadki, uderzy inaczej i gdzie indziej. I dlatego "pogotowie duchowe" jest w tej chwili co najmniej tak ważne, jak pogotowie bojowe.*

*Doszły do mnie w czasie podróży różne listy, którymi chciałbym się z Tobą podzielić, Drogi Tymonie. Większość stanowiły, niestety . . . ulotki. Myślę, że otrzymało je w tym samym czasie wielu innych żołnierzy w Szkocji i w Anglii. Treść ulotek bywała różna, mniej lub więcej ciekawa, źródło — przypuszczam — jedno, a ton i styl podobne. N.p. "Młodzi nie dajcie się nabrać starym wygom politycznym! Ratujcie armię przed rozpolitykowaniem i rozkładem", /Hallo, stare wygi! Nie damy się nabrać!/ Cóż za pomysłowość! Były ulotki anty-sanacyjne i anty-narodowe, wzywające do walki z rządem i do walki z opozycją.*

*Najciekawsza — ze względu na misterną robotę stylistyczną — była ulotka "Polskiego Związku Postępowego" /Polish Progressive Club, London, N.W.1. Tel. Gulliver . . . / Ten Gulliver to nie bajka o olbrzymach i pigmejach. To, niestety, smutna, mała prawda. "Postępowcy" przesyłają w tej ulotce swoją "deklarację ideową", z której ktoś skrzętnie i dokładnie powybierał i usunął takie słowa jak n.p. komunizm, pozostawił jedynie "współpracę" i nawet nie zamieścił "oswobodzenia". Ponieważ w punkcie szóstym tej deklaracji, poza równymi, wspaniałymi wolnościami, wylicza się także "wolność opinii", więc sądzę, że wolno i trzeba wypowiedzieć opinię o tej ulotce.*

*Mnie osobiście najwięcej zaciekawił ostatni ustęp p.t. "W jedności siła": . . . "Organizujemy się, bo ludzie źli i zachłanni pogrążyli sprawę polską w świecie. Aby świat mógł nam zaufać, nie wystarcza powoływać się na własne cierpienie . . . Naszym celem jest wolny naród, w wolnym państwie, w wolnym świecie. Głosząc to hasło wzywamy wszystkich rodaków do wspólnej pracy. W każdym skupisku polskim zakładajcie oddział lub sekcję Polskiego Związku Postępowego. Wkładka członkowska 3 szylingi rocznie. Na żądanie wysyłamy statut, instrukcje o zakładaniu oddziałów i materiał informacyjny o pracy terenowej . . ."*

*Kochani Koledzy! Ponieważ: "w jedności siła" nie dajcie się nabrać! Celem ulotki jest nie tylko wolne państwo /jakie?/, ale przede wszystkim zakładanie "oddziałów" i "praca terenowa". My wiemy, że oddziały walczące o wolność narodu polskiego, o "wolne państwo w wolnym świecie" zostały "założone" jeszcze we Francji w roku 1939, gdy niektórzy z obecnych nieprzyjaciół wymieniali częste wizyty dyplomatyczne; że niektóre "lotne" oddziały polskie wykonały bardzo intensywną, dzisiaj historyczną, "pracę terenową" w czasie Battle of Britain w roku 1940; że walcząc o wolność narodu zawędrowały w r. 1941 miliony Polaków bez żadnego "statutu" i "materiału informacyjnego" na daleką Północ, do kopalń. Więc jeżeli taka ulotka trafi do Waszej świetlicy, namiotu czy baraku to wiedzcie, że jej jedynym celem jest nie wydrukowane hasło: "Siła przeciw jedności"!*

*Drogi Tymonie. Nie potrzebuję Cię zapewniać, jak bardzo śmieszyły mnie te "materiały informacyjne" odbierane właśnie na trasie lotnisk polskich "bombardierów" i myśliwców, jak mogłem kpić i śmiać się głośno z tych ulotek patrząc na szykujące się do lotów wytrwałe maszyny polskie, jak zachłystywałem się atmosferą jedności i koleżeństwa, panującą wśród naszych lotników. Wyobrażasz sobie, jak nieważne wydawały się "tajemnicze papierki" po przeprowadzeniu rozmów z marynarzami polskich okrętów podwodnych, mających kilkadziesiąt tysięcy zatopionych niemieckich "ton" na swoim koncie.*

*O rozmówkach nocnych w baraku lotniczym, gdzie przygarnięto nas gościnnie pewnego wieczoru, o londyńskiej mgle, która nas trochę dezorientowała, o ciekawych nowinkach z radiofonii światowej i prasy napiszę w następnych felietonach.*

*WIKTOR BUDZYŃSKI*

P.S. Przekazuję Ci wyjątki dwóch listów z dalekich stron, które otrzymałem również na trasie objazdu: jeden z Afryki, drugi z U.S.A. Są tam miłe słowa pod adresem "Polski Walczącej".

M.S. i B.D. /Uganda/: " . . . Z opisów w "Polsce Walczącej" wiemy o was dużo, ale dostać tę gazetę tutaj trudno, choć jest to najpiękniejsze pismo . . . Brak nam bardzo "Polski Walczącej". Gdybyście mogli przesyłać . . .

Pani D. Galińska /Princetown New Jersey U.S.A./ przesyłając jednego dolara na "Paczki od serca" /który równocześnie załączam/ pisze: " . . . Strasznie czarne i ciężkie chmury zasnuły nam i tak już zamglone niebo, promień słońca prawdy nie jest w stanie przedrzeć się przez te ciężkie opary — pozostała tylko wiara i ufność . . . Jedynie to pismo Wasze "Polska Walcząca" uspokaja rozdygotane serce i ucisza skłębione czarne myśli, to też wyczekujemy jak chory lekarza tej cennej gazety z Londynu. Zasyłamy Wam najserdeczniejsze pozdrowienia, prosząc Boga o skrócenie dni Waszych tęsknot i wyczekiwania powrotu do Ojczyzny . . ."

## Przechowalnia Bagaży

Zarząd Główny P.C.K. podaje do wiadomości, że uruchomił Przechowalnię Bagaży dla Żołnierzy W.P. w Edinburgh'u, 15, Rutland Street.

Zadaniem przechowalni jest przyjmowanie bagaży /rzeczy osobistego użytku żołnierzy W.P./ celem przechowania ich i po ukończeniu wojny przewiezienia do Składnic P.C.K. w Kraju, skąd zostaną wydane właścicielom za zwrotem pokwitowań. Bagaż składany w przechowalni jest ubezpieczony za drobną opłatą.

Korzystanie z przechowalni przysługuje żołnierzom W.P. służby czynnej, urlopowanym i inwalidom W.P.

Bagaże, wraz ze specjalnymi deklaracjami, które wydaje Zarząd Główny P.C.K. i Kierownictwo przechowalni, winne być przysyłane do Przechowalni Bagaży, 15, Rutland Street, Edinburgh.

Informacji udziela: Zarząd Główny P.C.K., 34, Belgrave Square, London, S.W.1, Biuro Opieki nad Żołnierzem, Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1, Kierownik Przechowalni, 15, Rutland Street, Edinburgh.

# Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE STOSUNKU DO KOBIET W MUNDURACH

Szanowny Panie Redaktorze!

W momencie, kiedy czytałem w prasie wiadomość o przybyciu nowego transportu ochotniczek do Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet — ulicami "czarnej kałuży" ciągnęły długie szeregi W.A.A.F. do zajęć.

Ilekroć patrzy się z zewnątrz na szeregi wojska, zdyscyplinowane i jednolite, ulega się dość ciekawemu uczuciu podziwu: człowiek podświadomie tęskni do porządku i karności działania, uderza z nich bowiem poczucie siły i sprężystości. Takie też było i moje pierwsze wrażenie, gdy patrzyłem na ulice tego wielkiego ośrodka szkoleniowego kobiet, w godzinach zajęć porannych.

Ponieważ jednak już dość długo żyję życiem wojskowym i pojęcie "defilady" znam z nieco odmiennej strony, utraciłem szybko ów obraz całości. Mijały mnie dziesiątki poszczególnych ludzi, żyjących swym odrębnym życiem, niosącym z sobą tysiące własnych, często przechodniom nieznanych trosk i utrapień. Szły kobiety. To może właśnie dowód najlepszy bezwzględności praw wojny obecnej, najbardziej może realistyczny obraz uporu i ofiary, z jakimi prowadzimy walkę o nowe istnienie.

W tym prawdziwie kobiecym mieście żyje i szkoli się mała grupka polskich WAAF. Miałem przez parę dni możność poznania w fragmentach ich codziennego życia — i na ten temat chciałbym podzielić się paroma uwagami.

Życie to nie jest sielskie anielskie. Gdy uświadomimy sobie, ile to nas młodych kosztowało wysiłku, by przezwyciężyć wiele trudności, związanych z życiem wojskowym, gdy przypomnimy nasze własne zmagania się w bezwzględnym przyjęciu pewnych koniecznych nakazów życia wojskowego — musimy wyrazić podziw kobiecie, która pomimo odmiennej struktury duchowej, dokonała w sobie tego samego. Kobieta w obecnej wojnie stała się normalnym żołnierzem. Otrzymała swój numer ewidencyjny, mundur i kierowana komendą wojskową, razem z nami, tym samym krokiem podąża ku wspólnemu celowi.

Czy jednak poza przyjęciem tego faktu do wiadomości, nic więcej z naszej strony temu nowemu żołnierzowi się nie należy? Podaję parę autentycznych wydarzeń, które może ułatwią nam udzielenie odpowiedzi na powyższe pytanie.

W autobusie, powracającym z jednej ze stacyj lotniczych, wypełnionym Anglikami, jechała mała grupa naszych ochotniczek. Obładowane swym wojskowym wyposażeniem, nie zwracały na siebie niczyjej uwagi. Wszystkie były przygnębione, jedna płakała. Były to łzy pełne żalu. O przyczynie przygnębienia mówiła przyciszonym głosem.

Po kilkutygodniowej praktyce na polskiej stacji lotniczej, wyjeżdżają na nowe m.p. Był to pierwszy okres ich pracy w służbie wojskowej. Jechały tam z pełnym entuzjazmem i radością, że będą mogły nareszcie urzeczywistnić marzenia służby dla Polski. Cieszyła je wiara, że praca ta będzie dobrze zrozumiana. Nie przerażały ich czekające trudności. Bo jadą przecie do polskiego środowiska.

Rzeczywistość okazała się zupełnie odmienna. Przez cały czas trwającej praktyki nie usłyszały od rodaków ani jednego dobrego słowa. Nikt im nie powiedział ani razu "dzień dobry" przy spotkaniu, mimo iż Anglicy nie oszczędzali swego "*good morning*". Nie raczono zwrócić uwagi na takie drobne wydarzenie, że do służby wstępuje nowa grupa ochotniczek, bliższych charakterem, mających wiele trudności zarówno z językiem angielskim, jak i z samym nowym zajęciem. W miejsce tego wszystkiego słyszały nieraz słowa inne, niezupełnie parlamentarne i już wcale nieprzyjemne. To może boleć i może również spowodować łzy.

Wypadek drugi o nieco odmiennym charakterze miał miejsce niedawno w owej "czarnej kałuży". Wielkanocne rekolekcje odbyły się z pominięciem tych właśnie 17-tu Polek, gdyż nikt nie pomyślał o tym, by przynajmniej w Wielką Sobotę popołudniu zwolnić je z zajęć. Również i spowiedź dla Polaków kończyła się równocześnie z zajęciami ochotniczek na kursie angielskim. Gdy bezpośrednio po zajęciach udały się do kościoła — konfesjonał był już pusty. W rezultacie jednej tylko udało się przyjąć komunię wielkanocną. Miała bowiem trochę szczęścia i mogła na własną rękę zwolnić się z wykładu.

Wiele by można pisać na temat niedostatecznego zainteresowania i niezupełnego zrozumienia życia niektórych grup naszych ochotniczek. Dzieje się tak częściowo może i dlatego, że same się nigdy nie skarżą. Są bowiem Polkami, a Polka wiele potrafi przecierpieć i już wiele przecierpiała w milczeniu. Uważam jednak, iż naszym obowiązkiem jest większe zainteresowanie się ich losem. Każda z nich ma za sobą wiele ciężkich przeżyć — od zesłań sowieckich, poprzez ciężką i ofiarną służbę w szpitalach na Wschodzie, aż po wiele osobistych tragedyj. Pomimo tego na równi z nami znoszą z pogodą wszelkie trudności. I walczą o zachowanie swej kobiecości. Kobietami chcą wrócić do Polski, by wypełnić swój pierwszy obowiązek — żony i matki. W tej walce muszą mieć naszą pomoc i zrozumienie.

Nie patrzmy więc na ich zdyscyplinowane szeregi oczyma widza, przypatrującego się paradzie wojskowej. I nie zapominajmy, iż w bezpośrednim spotkaniu każda z nich jest dla nas przede wszystkim kobietą, której należy się pewien szacunek, a później dopiero żołnierzem o danym numerze rejestracyjnym.

Z poważaniem

*Zbigniew Janicz*

# Poradnik żołnierski

*Kpr. G.M. — Sprawa obywatelstwa Angielek po wyjściu za mąż za polskich żołnierzy.* Zapytuje Pan w swoim liście o dosyć zawiłą sprawę, dotyczącą sytuacji prawnej i materialnej obywatelek brytyjskich, które wyszły za mąż za obywateli polskich, pozostających w służbie wojskowej w Armii Polskiej.

Obywatelka brytyjska, po wyjściu za mąż za żołnierza-obywatela polskiego, automatycznie zyskuje obywatelstwo polskie, a tym samym traci obywatelstwo brytyjskie, jako że nie można posiadać dwu obywatelstw naraz. Może natomiast na podstawie istniejących przepisów angielskich wystąpić do odpowiednich władz brytyjskich o zachowanie obywatelstwa brytyjskiego, co bywa na ogół uwzględniane.

Obywatelka brytyjska w zasadzie nie może być zwolniona ze służby w armii brytyjskiej, do której wstąpiła przed pójściem za mąż. Co prawda zwolnienie z tej służby może nastąpić /ale nie musi!/ na skutek specjalnych okoliczności, jak n.p. z powodu lub tuż przed urodzeniem dziecka, ale zaznaczyć wypada, że załatwianie takich spraw traktowane bywa zupełnie indywidualnie i żadne władze polskie żadnych interwencji w tych sprawach nie podejmują.

Żonie obywatela polskiego /żołnierza/ przysługują normalne zasiłki z Wydziału Rodzin Wojskowych M.O.N., a ponad to może ona otrzymać zapomogę w rodzaju: na urządzenie mieszkania, z powodu urodzenia dziecka, lub dodatek na wychowanie dziecka /ten ostatni dodatek wypłacany bywa przez oddział gospodarczy, w którym służy mąż-ojciec i w oddziele należy się starać o taki dodatek/. Żona obywatela polskiego po ewentualnym zwolnieniu jej ze służby wojskowej w armii brytyjskiej nie ma zapewnionego zatrudnienia ze strony władz polskich, chociaż może je uzyskać, co jednak zależne jest od kwalifikacji. Zresztą żony obywateli polskich, jak wszyscy obcokrajowcy na tutejszym terenie, podlegają przymusowi zatrudnienia i jeśli nie mają pracy, muszą przyjąć taką, jaką im przydzieli odpowiedni urząd brytyjski /Labour Exchange/, zajmujący się tymi sprawami.

Obywatelki — Polki na terenie W. Brytanii odbywają służbę w P.S.W.K. tylko ochotniczo. Służba ta nie jest obowiązkowa.

*Sprawa Klubu "Orła Białego" w Londynie i Domu Polskiego w Glasgow.* — Otrzymaliśmy list z niebardzo istotnymi i nieścisłymi uwagami na temat Klubu "Orła Białego" w Londynie oraz Domu Polskiego w Glasgow. Po zbadaniu i stwierdzeniu, że uwagi dotyczące Klubu "Orła Białego" są nieścisłe /co do Glasgow — wyjaśnienie jest zawarte w poniższym liście/, skierowaliśmy całą sprawę do Biura Opieki nad Żołnierzem, od którego otrzymaliśmy poniższe wyjaśnienia:

*1/ Wstęp na zabawy towarzyskie w Klubie "Białego Orła" wynosi sh.2 — a nie 2/6 od osoby bez względu na stopień wojskowy. Wstęp na koncerty i pokazy filmowe jest dla wszystkich bezpłatny. przyjmowane są jedynie dobrowolne datki na paczki dla jeńców, względnie na cele kulturalno-oświatowe Klubu.*

*2/ W Hotelu Klubu znajduje się 59 łóżek — z tego 9 jest przeznaczonych dla oficerów do stopnia kapitana włącznie. Oficerowie mieszkają w 3-łóżkowych pokojach i płacą za pierwszą noc sh.5, za następne sh.4 — ze śniadaniem. Szeregowi zajmują 4-6 łóżkowe pokoje i płacą po 2/6 za dobę ze śniadaniem.*

*3/ Wejście do Hotelu jest dla wszystkich bocznymi schodami. Wejście główne prowadzi tylko do baru, kawiarni i pokoju sportowego. Każdy żołnierz przychodzący do Klubu "Białego Orła" ma prawo wstępu do wszystkich pomieszczeń przeznaczonych dla członków i gości, jedynie w czasie zabaw i herbatek z tańcami osoby wchodzące do baru i na salę zabaw opłacają sh.2 /dwa szylingi/.*

*Dla zobrazowania stosunków w instytucjach wojskowych w Londynie podaję warunki opłat w Domu Wojskowym, 3, Culford Gardens, gdzie na 24 łóżek — 3 są przeznaczone dla oficerów na opłatą 7 sh. za pojedynczy i sh.5 za podwójny pokój. Szeregowi płacą 3/6 w pokojach 3-4 osobowych łącznie ze śniadaniem.*

*Co się tyczy stosunków w Glasgowie, nie mogę dokładnie poinformować Pana Redaktora, gdyż nie jest to Dom Żołnierza, lecz Dom Polski pod zarządem P.C.K. Informuję jedynie, że w Glasgowie nie ma Komendy Uzupełnień i chodzi tu prawdopodobnie o oficerów, znajdujących się na kursach.*



CZYTELNICY "POLSKI WALCZĄCEJ" DLA JEŃCÓW W NIEMCZECH

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich podaje do wiadomości ofiarodawców, że z darów na "paczki od serca" ogłoszonych w nr. nr. 14-15, 16 i 17 "Polski Walczącej" wysłano 356 paczek; 2 paczki odzieżowe /à £2/, 53 paczki żywnościowe /à 10s./ i 301 paczek papierosowych a 1,000 sztuk. Imienna lista tych, do których paczki wysłano jest do przejrzenia dla zainteresowanych w Redakcji "Polski Walczącej".

# Dla Polaków w Rosji: £10,902

Poles in Russia Fund,
c/o "Polska Walcząca",

Dear Sirs,

I enclose a subscription of sh.8.2 for the Poles in Russia Fund from the Scottish-Polish House in Edinburgh.

Yours faithfully,

*Leslie Goddard*

* * *

P.T. "Polska Walcząca",
Załączam sh.10 na Pomoc Polakom w Rosji.

*Strumieński M.*

* * *

W podzięce Św. Antoniemu na dzieci polskie w Rosji sh.5 od

*Jagusi*

* * *

W załączeniu przesyłam Postal Order na £2 sh.17 /słownie: dwa funty, siedemnaście szylingów/ z przeznaczeniem na dzieci polskie w Z.S.R.R. — a pochodzące z dobrowolnych składek żołnierzy tut. Szwadronu.

*Dowódca . . Szwadronu Łączności kpt. Adam Z.*

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £4.0.2 /słownie: cztery funty i dwa pensy/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,902.13.3 /słownie: dziesięć tysięcy dziewięćset dwa funty, trzynaście szylingów i trzy pensy/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

## GENERAL SIKORSKI MEMORIAL HOSPITAL FUND

£1 od Amerykanina polskiego pochodzenia, działacza "Sokoła Polskiego" w Ameryce, sierżanta Józefa Beczkowskiego z Armii Amerykańskiej — na "General Sikorski Memorial Hospital Fund".

*Kwotę jednego funta przekazaliśmy pod adresem: Lady Anstruther, 1, Hill Street, London, W.1, z przeznaczeniem na "General Sikorski Memorial Hospital Fund".*

## POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam "Postal Order" Nr. 253032 na sumę sh.10 /dziesięć szyl./ jako złożoną ofiarę na mszę św. nieprzyjętą przez ks. Dziekana I. Korpusu. Kwotę tę proszę przeznaczyć na najbiedniejsze dzieci w Polsce.

Łączę wyrazy szacunku

*W. Ruczyńska*

Janinka Kowalewska na biedne dzieci polskie sh.3 d.6.

*Sumę £0.13.6 /słownie: trzynaście szylingów i sześć pensów/ przesłaliśmy do "Polish Children Rescue Fund".*

*W roku bieżącym za pośrednictwem "Polski Walczącej" zebrano na ten cel £532.13.0 /słownie: pięćset trzydzieści dwa funty, trzynaście szylingów/.*

# Zbiórka książek

Od oficera pilota W.P. z prośbą o przekazanie żołnierzowi poza wyspami W. Brytanii dwie książki: Stanisław Szczepanowski: "Walka narodu polskiego o byt", oraz Stanisław Thugutt: "Wybór pism i autobiografia".

* * *

Przesyłam 3 podręczniki z prośbą o przeznaczenie ich dla jakiejś szkoły polskiej, według uznania bez obowiązku ogłaszania tego w "Polsce Walczącej".

*H. Balcerzak*

Załączone podręczniki: Berlitz: "Premier Livre", "Deuxieme Livre", "Basic English".

* * *

Przesyłamy 13 różnych książek i broszur dla żołnierzy polskich na Bliskim Wschodzie /Pechowy numer, co?/.

*Bezimiennie*

Załączone: A. H. Russel: "Rapid Calculation," Howard L. Philip: "Memory", André Maurois: "Dzieje Anglii", W. Welby: "Mind Your Mind", "Pomniki literatury ojczystej" /zeszyt 1 — 5, razem dziewięć zeszytów/.

* * *

Bezimiennie nadesłano następujące książki, które przeznaczamy dla żołnierzy na Bliskim Wschodzie: 3 egzempl. "Essential English" /Book I, II i IV/, oraz 11 różnych broszur i periodyków, razem 14 książek i broszur.

* * *

W załączeniu przesyłam "Book Token Stamp" z prośbą o zakupienie książki dla żołnierza na Środkowym Wschodzie.

Łączę żołnierskie czołem

*J.G.*

Za przesłany nam "Book Token Stamp" zakupiliśmy A. Janty: "Ściana milczenia".

# Na "paczki od serca": £3,080

Pani D. Galińska /Princetown New Jersey U.S.A./ przesyła jednego dolara amerykańskiego na "Paczki od serca" /por. felieton W. Budzyńskiego w dzisiejszym numerze/.

* * *

£1 od Amerykanina polskiego pochodzenia, działacza "Sokoła Polskiego" w Ameryce, sierżanta Józefa Beczkowskiego, z Armii Amerykańskiej, na "Paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech.

* * *

W czasie wieczornicy w dniu 3 Maja na "Paczki od serca" zebrano £22.9.2 / dwadzieścia dwa funty, dziewięć szyl., d.2/.

*Polska Stacja Bombowa
. . . Dyw. Ziemi Mazowieckiej*

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",
Saperzy Spadochr. przysyłają £1 na jeńców wojennych

*świetliczarka J. Massalska*

Załączam P.O. na sh.5 jako dar na jeńców polskich w Niemczech, które złożył pchor. Chrz. Wacław /Jako nagrodę pieniężną, otrzymaną od Komendanta Szpitala Ewakuacyjnego Nr. 1 "Sefa"/.

*Oficer Opieki /J. Str./*

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £24.14.2 /słownie: dwadzieścia cztery funty, czternaście szylingów i dwa pensy/ i jeden dolar ameryk. przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,080.7.7 /słownie: trzy tysiące osiemdziesiąt funtów, siedem szylingów i siedem pensów/, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

## NA DAR NARODOWY

Przy niniejszym przesyłamy "Money Order" na sumę £15.0.9 z prośbą o przekazanie jej Komitetowi "Daru Narodowego".

Suma powyższa została zebrana wśród żołnierzy garnizonu . . . na uroczystości obchodu Święta Narodowego dnia 3 Maja 1944 r.

*W/z. Plut. Opieki nad Żołn. /Bł. St. ppor./*

* * *

Wielmożny Panie Redaktorze,

W myśl apelu Prezesa Rady Narodowej p. prof. dra Stanisława Grabskiego — personel lekarski, siostry, chorzy, P.S.W.K. pluton obsługi i pluton samochodowy Polowego Szpitala Ewakuacyjnego Nr. 1 dla uczczenia szlachetnej i bezinteresownej pracy Towarzystwa Szkoły Ludowej, Towarzystwa Czytelń Ludowych i Macierzy Szkolnej w Kraju — złożyli kwotę £6 sh.16 d.6, którą w załączeniu przesyłam.

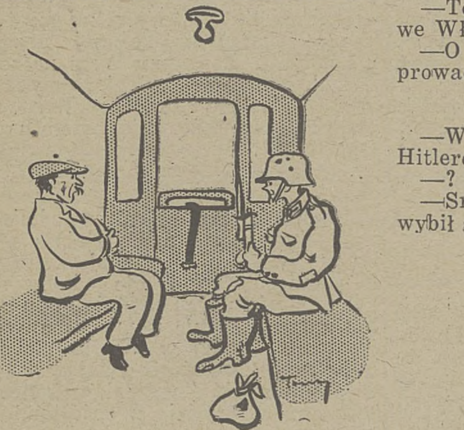
*Ks. Konstanty Pogłódek
kapelan szpitala*

*Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £21.17.3 /słownie: dwadzieścia jeden funtów, siedemnaście szylingów i trzy pensy/ przekazaliśmy na ręce prezesa Rady Narodowej z przeznaczeniem na Dar Narodowy.*

# WERINAJSEK

*. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .*

### *W POCIĄGU "W NIEZNANE"*



*—Hans, jaki ty masz bilet?*
*—"Powrotny" na front rosyjski . . .*

### OSZCZĘDZAJ!

W związku z akcją oszczędnościową w armii, w jednym z urzędów odbywa się narada nad wyszukaniem hasła propagandowego. Po kilku godzinach zadecydowano, że hasło: "na oszczędności twoje czeka rodzina i Kraj" jest najodpowiedniejsze.

—Ja nie akceptuję tego sloganu — wtrącił jeden z członków jury — uważam, że bardziej przekonywujący jest slogan: "na oszczędności twoje czeka żoneczka" . . .

### NAPIS W PEWNEJ JADŁODAJNI

"Zwracamy uwagę gościom, że łyżeczki nie są lekarstwem i nie należy ich zabierać po jedzeniu" . . .

### POLITYCY!

—Teraz widzi pan, że ruszyło się we Włoszech!

—O tak i nawet "wszystkie drogi prowadzą do Rzymu"!

### DOWCIPNIŚ

—Wie pan, co Mussolini przesłał Hitlerowi w dniu jego urodzin?

—? ? ?

—Srebrny młotek, żeby Adolf wybił sobie z głowy . . . drugi front!

### *MORSKIE "PESTKI"*



*—Feluś, to musi być stary wilk morski!*
*—Cicho mów, nasza Polka może się obrazić!*

### *WRÓG MASKOWANIA*



*—Ja wam zaraz wybiję z głowy majówkę!*
*—Panie szefie, to jest kamuflaż . . .*
*—Obojętne, teraz jest wojna, a nie botanika! . . .*

### *KTÓRY PIERWSZY?*

*Pewnej damie — Volksdeutscherce,*
*Co swastyki nosi znaki —*
*Ktoś na wojnie zabrał serce,*
*Podarował zaś bliźniaki!*
*Mało w Reichu dziś tych czynów,*
*A więc duma ją rozpiera,*
*Że dwóch nowych "takich synów"*
*Przysporzyła dla Führera!*
*A na dwojga wodzów chwałę,*
*Których dotąd nie pobito,*
*Niech chłopięta zwą się małe —*
*Ten — Adolfek, ten — Benito!*
*Choć w Warszawie wciąż jest cicho,*
*Ma niewiasta kłopot taki:*
*Pewnej nocy, pal to licho!*
*— pomyliły się bliźniaki!*
*Więc do matki biegnie starej:*
*— Poradź, Mutter, bo się smucę,*
*Który z nich się zwie, jak Führer,*
*A zaś który tak, jak Duce?*
*Jesteś, córko, niedorajda,*
*Bacznie na nich patrz, kobieto,*
*Który pierwszy się zafajda,*
*Ten na pewno jest Benito!*

/Z prasy podziemnej/

### PRZYZWYCZAJENIE

Na przystanku autobusowym w Londynie od godziny stoi pewna dama. Mija ją może setny autobus.

—Dlaczego pani nie wsiada? — pyta znajoma.

—Ponieważ czekam na ogonek! . . .

### ACH TE STOSUNKI!

—Dziwne są tutaj stosunki — mówi jeden z rodaków. — Mój przyjaciel marynarz wszedł do budki telefonicznej, ażeby połączyć się z narzeczoną i po chwili policja go aresztowała!

### ROZPOZNAŁ

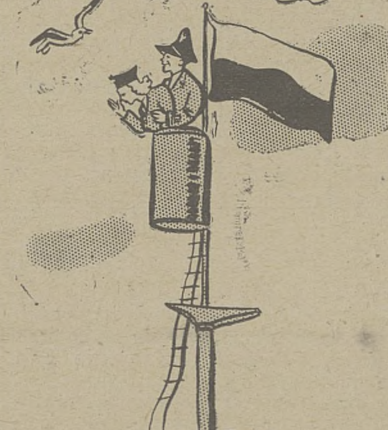
Mały Staś chodzi do szkoły w Londynie. Pewnego dnia wpada uradowany do domu i woła:

—Mamusiu, mamusiu, widziałem Króla jadącego samochodem!

—Po czym, poznałeś, że to był Król?

—Mamusiu, ten pan był zupełnie podobny do dwóch szylingów! . . .

### *WŚRÓD "WRENEK"*



*—Pani komendantko, nie mogę zejść! Pan porucznik pokazuje mi teraz gniazdko bocianie!*

### *NA ĆWICZENIACH*



*—Mówiłam, ażeby wywiesić flagi sygnalizacyjne!*
*—Pani komendantko, "Dragon" i tak nas zrozumiał! . . .*

### KWALIFIKACJE . . .

—Nie wiem jakie ty masz kwalifikacje do Marynarki? — mówi "Pestka" do koleżanki w mundurze marynarskim. — Ja to co innego! Byłam trzy razy w Jastrzębiej Górze, dwa razy w Jastarni, a nawet na Helu!

### "SZPILKA"

"Tygodnik Polski" wychodzący w Ameryce, zrobił nam wielką przyjemność, cytując nasze dowcipy, jak i reprodukując rysunki. Redakcja zapomniała tylko wymienić źródło oraz autora — prawdopodobnie omyłkowo z powodu "tempa amerykańskiego"!

Przyjmując te zasady, cytujemy jeden z dowcipów, który ukazał się w pewnym tygodniku w Ameryce:

—Wiesz dlaczego zamknięto "Wiadomości Polskie"?

—Papier był potrzebny do podklejenia Karty Atlantyckiej! . . .

Tekst i rysunki: TONY

Ukazał się pierwszy numer pisma
**"GAWĘDY ŻOŁNIERSKIE"**
poświęconego zagadnieniom wychowawczym w Polskich Siłach Zbrojnych.

Na pierwszy numer składa się: Słowo od Redakcji; Przedmowa Ministra Obrony Narodowej; Na rozdrożu — S. Hardick; Kilka słów o roli i pracy dowódcy — Konny Artylerzysta; Przegląd wojskowej literatury obcej; Przegląd wojskowej literatury własnej; Wyjątki z literatury.

### SPIS RZECZY:

*Zygmunt Nagórski, jn.:* Osobliwa chwila. — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — *M. J. Gordon:* Nowości lotnicze. — Z tygodnia na tydzień. — *Zdzisław Bau:* Prasa żołnierska na froncie włoskim /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — *Tadeusz Zajączkowski:* Na apenińskich stokach i graniach. — Polska podwodna /*Jan Szylski:* Na patrolu. *Andrzej Guzowski:* Ich nieudany urlop./ — *Tadeusz Pniewski:* Junacy wystawiają Halkę /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — *Aleksander Janowski:* Dwunasty maja. — *Janusz Laskowski:* Amerykański uśmiech /Zjazd ochotników z Ameryki i Kanady żołnierzy W.P./ — *Wiktor Budzyński:* Bez Blackoutu. — Skrzynka pocztowa.

## KOMUNIKAT MINISTERSTWA PRACY I OPIEKI SPOŁECZNEJ

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej wzywa wszystkich zwolnionych z szeregów W.P. po dniu 1 września 1939 z powodu zupełnej niezdolności do służby wojskowej /kat. "E"/, wobec których nie zostało wszczęte postępowanie o zaopatrzenie inwalidzkie, o podanie w jak najkrótszym czasie dokładnego adresu w celu umożliwienia Ministerstwu wszczęcia postępowania w sprawie zaopatrzenia inwalidzkiego.

Adresy należy przesyłać do Działu Opieki nad Zwolnionymi z Wojska Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej /19, Cavendish Square, London, W.1/.

## WYSTAWA ANTONIEGO WASILEWSKIEGO

W dniu 17 maja w Klubie "Białego Orła" otwarta zostanie wystawa obrazów oraz szkiców wojskowych Antoniego Wasilewskiego.

Wystawa trwać będzie do 20 czerwca.



Staraniem Związku Dziennikarzy R.P. odbędzie się w Ognisku Polskim /45, Belgrave Square, S.W.1/ w czwartek dnia 18 maja b.r. o godz. 6-ej odczyt IGNACEGO BALIŃSKIEGO b. prezydenta m. Warszawy p.t. "O starych redakcjach warszawskich" Wstęp wolny.

Staraniem P.E.N. Klubu Polskiego odbędą się w lokalu "Ogniska Polskiego", 45, Belgrave Sq., S.W.1 w ciągu bieżącego miesiąca:

Odczyt DR. JANA ŚLIWIŃSKIEGO, p.t. "Music in Poland" ilustrowany płytami gramofonowymi, w dn. 25 maja /czwartek/, o godz. 6.15.

Wstęp bezpłatny. Prosimy o zawiadomienie o powyższej imprezie jak największej ilości Anglików.

Wieczór autorski ANTONIEGO BOGUSŁAWSKIEGO, ze słowem wstępnym Wacława Grubińskiego, w dn. 31 maja /środa/, godz. 6.15. Wstęp 2/6 na Fundusz Pomocy Pisarzom w Polsce.


**WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.**
**Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.**
**Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.**
**Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.**

**Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.**

**Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.**

**Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.**

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.